PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.



Roznosicielka wody.

TOM II

obejmujący
zeszyty 7—12

oraz
Album portretów
Serja II.

CENA zł. 3.

......

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

Od Wydawnictwa „Pamiętników S. J. Czarnowskiego"

w Kielcach, ulica Hipoteczna 30.

Wyszły z druku:

Zeszyt 1. Przedmowa. Wstęp. Rodowód familji Czarnowskich i rodzin z nią spokrewnionych. I. Mój ojciec i jego rodzina. II. Matka moja i jej rodzina. Cena Marek 75.

Zeszyt 2. III. Lata dziecięce moje w Staszowie, Miechowie i Stopnicy (r. 1847 — 1856), rzeź galicyjska. Mk. 150.

Zeszyt 3. IV. Lata szkolne w Kielcach (1856 — 1860), wojna włoska. Mk. 185.

Zeszyt 4. Lata gimnazjalne w Kielcach (r. 1860 — 1864), powstanie styczniowe, bitwa miechowska. Mk. 390.

Zeszyt 5. V. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie (1864 — 1865 r.). Wydział przyrodniczy. Mk. 375.

Zeszyt 6. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie (1865—1869 r.). Wydział prawa i administracji. Mk. 650.

Zeszyt 7. VI. Wydawnictwa i aplikacja sądowa moja w Warszawie (1869—1873), wojna francusko-niemiecka. Mk. 390.

Zeszyt 8. VII. Księgarnia kolportacyjna w Warszawie (1874 — 1879 r.), wojna bałkańska, Wł. Spasowicz. Mk. 1050.

Zeszyt 9. VIII. Warszawska Bibljoteka słowiańska i Czytelnia czasopism (1880 — 1883), wojna egipska, Aleksander Świętochowski i Bolesław Prus-Głowacki. Mk. 660.

Zeszyt 10. IX. Listy z podróży na Wschód południowy (1882 — 1883). Ziemie słowiańskie. Mk. 430.

Pod prasą dalsze części:

IX. Podróż na Zachód i pobyt w Nicei (1884 — 1885 r.).

X. Pobyt w Konstantynopolu (1886 — 1890 r.).

XI. Powrót do Warszawy (1890 — 1894 r.).

XII. Pobyt w Miechowie i Ojcowie (1895 — 1917), wielka wojna europejska.

XIII. Pobyt w Kielcach (1918 — 1920 r.), oswobodzenie i niepodległość Polski.

XIV. Zakończenie. Marzenia niespełnione.

„Pamiętniki Stanisława Jana Czarnowskiego", wydawane zeszytami, zawierają wspomnienia z trzech stuleci XVIII, XIX i XX w porządku dziejowym. Zeszyty dotychczas wydane obejmują, prócz dawnych wspomnień rodzinnych (z tabelą genealogiczną), opis lat dziecięcych, czasów szkolnych w Kielcach, uniwersyteckich w Warszawie — działalność oświatową i publicystyczną autora tamże i t. d., z mnóstwem szczegółów wielce interesujących o ówczesnych stosunkach pedagogicznych, towarzyskich, społecznych i dziejowych.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.

SZKICE z PODRÓŻY

na

WSCHÓD POŁUDNIOWY

1882 r.

Morze czarne, Bosfor, Konstantynopol, Ateny i Grecja, Smirna i Azja mniejsza, Kanał suezki, Kairo, Aleksandrja, Tripolis, Morze śródziemne.

BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA
i WOLFFA
1923 r.

Zeszyt 11.

WYDAWNICTWO S. J. CZARNOWSKIEGO i S-ka

Odbito w tłoczni p. f. „St. Święcki“ w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.

Szkice z podróży na Wschód południowy (1882 — 1883 r.).

*Morze czarne, Bosfor i Konstantynopol.**)*

W gorący dzień 30 października 1882 r. w obszernym porcie Warny, obok mnóstwa żaglowców przybrzeżnych kołyszących się na powolnych falach, stało na kotwicy kilkanaście parowców osobowych. Po południu zawczasu udałem się z bagażem na pokład „Marsa“, pięknego i obszernego szrubowca austrjackiego, który wieczorem wyruszył w drogę do Carogrodu. Wkrótce słońce zaszło, zmierzch szybko zapadał, lekka mgła przezroczą zasłoną okryła skaliste wybrzeża i straciliśmy z oczu portowe latarnie morskie. Gwiazdy jedna po drugiej występowały na ciemnym szafirze niebios, a nocą zaiskrzyły się blaskiem tak czystym i jasnym, jakiego nigdy nie dostrzegamy u nas na północy. Ciepły wietrzyk powiewał od południa. Pierwszą tę dla mnie uroczą noc na morzu postanowiłem przepędzić na pokładzie. Minęła szybko, jak marzenie wśród wspaniałej ciszy niezmierzonego okiem widnokręgu.

Z brzaskiem różowej jutrzenki ujrzeliśmy znów ląd, wychylający się ze srebrzystej mgły poranka, wązką szarą linją. Wkrótce odróżniliśmy naprawo czarno-morskie cyple Bałkanów, nalewo płaskie wzgórza Azji mniejszej. Pojedyńczo krążące mewy zwiastowały pobliże skał morskich. Na wybrzeżu europejskiem przylądek Eski-Fanaraki zarysował się wyraźniej, a za nim fort Kilja, broniący północnego wejścia Bosforu, w które wpłynęliśmy niebawem, mijając liczne parowce i ciężko ładowane żaglowce, sunące na Morze czarne. Wspaniała panorama Bosforu rozwinęła się przed nami w całej okazałości. Podczas gdy urwiste wybrzeża europejskie kąpały się już w pełnym blasku porannych promieni słonecznych, wzgórza Azji utkane zielenią drzemały w rozkosznym półmroku. Pomiędzy europejskim fortem latarni morskiej Rumili-Fener a azjatyckim Anadoli-Fener parowiec nasz mknął szybko po silnym prądzie, wpadającym tu z Morza czarnego do Morza Marmora. Cieśnina Bosforu biegnie w kierunku z północo-wschodu na południo-zachód, jest 27 kilometrów czyli blizko 4 mile długa, 1.170 do 1.950 metrów

*) Szkic niniejszy drukowany był w warszawskiej „Gazecie handlowej“ z r. 1884 w numerach 9, 10 i 12.

szeroka, i posiada średnią głębokość 55 metrów. Roskoszne wybrzeża Bosforu osłaniają wyniosłe wzgórza, dochodzące 250 metrów wysokości, z mnóstwem malowniczych dolin i małych zatok, ocienionych ciemnozielonemi gajami cyprysów, laurów i rozłożystych platanów. Białe murowane wioski, stare zamczyska, pałace baszów, bankierów i posłów europejskich przesuwają się uroczo w przepysznej panoramie jak w bajce z „Tysiąca i jednej nocy". Szmaragdowe fale morskie pienią się białemi smugami licznych parowców i statków, mknących na północ i południe. W zwężonej cieśninie mijamy naprawo zamczysko Rumili-Kawak, nalewo naprzeciw Anadoli-Kawak na stromej skale. Cieśnina rozszerza się znowu i odsłania malownicze doliny Bujukdere i Terapji, z letniemi siedzibami ambasadorów. Nalewo zatoka Bejkos. Prawie w połowie Bosforu wznoszą się dwa silne forty naprzeciwległe Rumili-Hissar na wybrzeżu europejskiem i Anadoli-Hissar na azjatyckiem, a liczne ich działa skierowane ku cieśninie panują nad całym wód poziomem. Minąwszy nalewo miejscowości Bejlerbej, naprawo Ortakiej, dostrzegamy świetny pałac sułtański Cziragan, dalej przedmieście Carogrodu Besziktasz, i złocisto biały pałac Dolma-bagcze. Dalej na widnokręgu południowym rysują się potężne kontury Seraju z jego ogrodami i barwnemi kioskami. Wreszcie nagle roztwiera się przed nami wspaniała niezrównana panorama Złotego Rogu, z całym rojem parowców i lasem masztów, nad którym panuje świetny amfiteatr Galaty i Pery z wyniosłą wieżą wpośrodku.

Cały ruch i życie potężnej arterji wodnej Bosforu skupia się w przepysznym porcie Złotego Rogu, pod skrzydłami starego Carogrodu. Port carogrodzki jest olbrzymim rynkiem trzech części świata i jedną z najwyborniejszych przystani globu; wrzyna się blizko na milę w ląd a jest tak głęboki, że największe okręty mogą przybijać prawie do samego brzegu. Przy wejściu pomiędzy przylądkiem Seraju (Serai-burnu, w starożytności Keras czyli Róg) a komorą celną na Tophane (w starożytności Metopon t. j. czoło) szerokość przystani wynosi przeszło 600 metrów i zmniejsza się stopniowo wmiarę posuwania się wgłąb lądu. Przez odnogę Złotego Rogu rzucone są dwa wielkie mosty pontonowe, prowadzące ze Stambułu na wybrzeże Galaty. Dwa te mosty dzielą port tameczny na trzy części: 1) zewnętrzny port handlowy, w którym także i parowce pocztowe zarzucają kotwicę, 2) wewnętrzny port handlowy pomiędzy obu mostami i wreszcie 3) port wojenny położony za drugim mostem, gdzie znajdują się arsenały (Tershane) i admiralicja (Divan-hane). Po stronie północnej portu położone są przedmieścia Galata i Pera, zamieszkałe przeważnie przez chrześćjan; po stronie zaś południowej rozciąga się główna część grodu Stambuł, zamieszkany przeważnie przez turków i będący siedzibą centralnych władz ottomańskich.

Świetne położenie geograficzne Carogrodu przy południowem ujściu Bosforu, pomiędzy dwoma wielkiemi kontynentami i dwoma Morzami czarnem i śródziemnem, posiada niezrównane warunki portu, mogącego największym flotom dać bezpieczne schronienie. Blizkość dwóch cieśnin Bosforu i Helespontu, łatwych do obrony przed nieprzyjacielem, wreszcie łagodny klimat, wszystko to czyni z Carogrodu ognisko pierwszego rzędu pod każdym względem. Stara stolica państwa bizantyńskiego t. j. dzisiejszy Stambuł w ścisłem znaczeniu, stanowi trójkąt mający przeszło 15 kilometrów obwodu. Dzisiejszy Carogród czyli Konstantynopol jest nierównie rozleglejszy i składa się właściwie z trzech miast rozdzielonych przez odnogi morskie t. j. ze Stambułu, Pery i Skutari na brzegu azjatyckim. Ludność całego Konstantynopola z wszystkiemi przedmieściami i osadami Bosforu, wynosi przeszlo 1,000.000 mieszkańców, z których mniejszą połowę około 400 000 stanowią turcy, większą zaś grecy (250.000), armeńczycy (250.000), izraelici (30 000) i inne narodowości. Konstantynopol posiada charakter całkiem międzynarodowy, w licznej bowiem jego ludności reprezentowane są prawie wszystkie główniejsze ludy Europy, Azji i Afryki. Jakkolwiek Konstantynopol, wciągany coraz bardziej w zakres interesów i kultury europejskiej, traci stopniowo odrębną oryginalność orjentalną, mimo to przedstawia jeszcze niezmiernie malowniczą rozmaitość architektury, ubiorów, języków i obyczajów.

Konstantynopol to olbrzymie ognisko trzech części świata. Do jego portu zawija rocznie 6 do 7.000 parowców i przeszło 30.000 żaglowców. Wartość jego wywozu wynosi około 180,000.000 fr., a przywozu blizko 250,000.000 fr. Przychodzą tam: sukna, wyroby bawełniane, płótna, wyroby żelazne towary kolońjalne, oleje, cukier, trunki, produkty pokarmowe, artykuły mody, książki i t. d. Wywozi się: zboże, tytuń, wełna, bawełna, opjum, olejek różany, guma, skóry, galas, żywice, wosk, safjany, rodzynki, wino, miód i dywany.

Konstantynopol jest sam jakby światem dla siebie, siedliskiem kontrastów, pełen ruchu i życia, pełen światła i cieni, jest ogniskiem, skupiającem ruch kolei europejskich, karawan azjatyckich, żaglowców i parowców świata całego, prujących modre fale jego uroczej, wspaniałej przystani.

Konstantynopol to perła Bosforu, a kto w nim zasiądzie z siłą, do tego władztwo świata należeć będzie.

Uwaga świata całego w ostatnich czasach skierowaną jest nieustannie na Wschód południowy, na owe urocze kralny Bałkanów i doliny Nilu — promienne, ciepłe, bujne i tak bogato od przyrody uposażone.

Na wschodzie bo też dokonywa się przeobrażenie wielkie. Młode, dzielne ludy południowo-słowiańskie, znoszące długo wiekowe jarzmo tureckie, powstają w obronie swej wolności,

a wojna turecko-rosyjska 1878 r. zadaje stanowczy cios stambulskiemu kalifatowi. Odtąd spróchniałe państwo ottomańskie chyli się szybko do upadku, pęka i wali na wszystkich węgłach. Z potarganego w szmaty dawnego terytorjum tureckiego, Rosja odzyskała besarabskie pobrzeże dolnego Dunaju z odnogą Kilji, Rumuńja Dobrudżę, Serbja i Czarnogóra zaokrąglają etnograficznie swoje granice, Grecja przyłączyła Tesalję, Bółgarja oswobodziła połowę ziem swoich, czekając na resztę do chwili sposobnej, a pożądliwe spojrzenia z różnych stron zwracają się na Carogród, ową drogocenną perłę wschodu i Bosfor uroczy.

Czemże tak nęci wspaniały gród Konstantyna, owo prastare Bizantion? Cóż to za magiczna siła pociąga mocarzy świata do zawładnięcia rozkosznemi wybrzeżami Złotego rogu? Dla zrozumienia tej zagadki wiekowej trzeba nam rozejrzeć się wokoło szeroko, rzucić wzrokiem w dal w zamierzchłą przeszłość, trzeba nadbosforskim cudom przypatrzeć się zblizka.

Wielka kotlina Morza czarnego położona pomiędzy Europą wschodnio-południową i Azją zachodnią, stanowi rozległą i potężną dziedzinę handlowo-komunikacyjną. Dopływy wodozbioru tego sięgają głęboko w ląd europejski. Dunaj z licznemi swemi rozgałęzieniami, Dniestr, Boh, Dniepr, Don, Kubań i inne rzeki pomniejsze, znoszą masy niezmierne produktów żyznych ziem z ognisk przybrzeżnych. Liczne koleje żelazne w części współdziałają z temi arterjami wodnemi, w części z niemi współzawodniczą. Limany rzek czarnomorskich, Morze azowskie i Morze czarne to jakby przedsienia wielkiej areny dziejowej i cywilizacyjnej Morza śródziemnego. Sinub i Trebizonda, Batum, Poti, Rostow, Taganrog, Mariupol, Chersoń, Nikołajów i Odessą, Sulina i Warna to główne przystanie, skupiające w sobie olbrzymi ruch wywozowy i przywozowy kotliny czarnomorskiej. Znaczenie dopływów i portów jej wzrasta niezmiernie z każdym niemal rokiem, wmiarę podnoszenia się ekonomicznego żyznych ziem przyległych. Wody czarnomorskie przebiega w różnych kierunkach tysiące parowców, żaglowców i statków przybrzeżnych, a cały ten olbrzymi ruch handlowy koncentruje się z konieczności w uroczej cieśninie Bosforu, w wspaniałym pierwszorzędnym porcie Carogrodu.

Już w głębokiej starożytności fenicjanie znali te drogi handlowe i z nich korzystali. Dzielnych tych żeglarzy na wodach czarnomorskich z czasem zastąpili ruchliwi grecy, których kolonje szeroko się rozpostarły i świetnie zakwitły. Ze stopniowym upadkiem Grecji a wzrostem państwa rzymskiego przycichło życie kolonij czarnomorskich, i cały ruch handlowy skierował się ku pięknej Italji, na usługi Romy władczyni starego świata. Od podziału państwa rzymskiego na wschodzie i zachodzie, i po zalaniu Europy przez barbarzyńskie plemiona napływowe, przerwał się związek pomiędzy Zachodem i Wschodem. W starem tylko Bizancjum trzymały się resztki dawnej kultury,

a wody czarnomorskie zaległa martwa cisza ożywiona z czasem przez ruchliwych wenecjan i genueńczyków.

Polska dopiero w XIV w. przez wcielenie Rusi dotarła do brzegów czarnomorskich, lecz nigdy nie zdołała wyzyskać należycie złotodajnego ich położenia i otwartej przez nie drogi na Wschód daleki. Przez Ruś weszła Polska stopniowo w stosunki handlowe z przymorską Wołoszczyzną, Bółgarją, wreszcie z Konstantynopolem. Już w 1415 roku Władysław Jagiełło zaopatrywał Carogród zbożem, które wywozili przez Dniestr wenecjanie z portu Białogrodu inaczej Akermańskiego. Następnie Jagiellonowie: Kazimierz, Zygmunt stary i Zygmunt August zawierali z sułtanami tureckimi traktaty handlowe, zapewniające Polsce wolny handel w państwie ottomańskiem i żeglugę na Morzu czarnem. W handlu polskim południowo-wschodnim (podobnie jak w północno-zachodnim) pośredniczyli niestety głównie kupcy zagraniczni: wołosi, serbowie, grecy, wenecjanie i genueńczycy, a nawet tatarzy i szkoci; obok nich brali się w części do tego handlu osiedli na Rusi ormjanie. Ci stanowiąc najzamożniejszą ludność Lwowa, stolicy Rusi czerwonej i centralnego jej punktu handlowego wysyłali swoje ładunki daleko na Wschód utrzymując stałe stosunki handlowe z faktorjami wenecjan i genueńczyków w Kilji przy ujściu Dunaju i w Kaffie. Głównym przedmiotem tego handlu południowego bylo nietyle jak północnego zboże — lecz przeważnie bydło, wyroby przemysłu krajowego i Europy zachodniej, za które otrzymywano płody i wyroby Orjentu. Ze Lwowa wywożono na wschód i południe polskie sukna, barchany, pasy, czapki, płótna krajowe i niemieckie, narzędzia żelazne z fakryk małopolskich i śląskich, oraz wszelki towar krótki. Przywożono natomiast jedwab i materje jedwabne, korzenie, owoce i wina południowe, ryby suszone, skóry i futra.

W XV w. za Zygmunta Augusta powzięto zamiar rozwinięcia wywozu czarnomorskiego przez uregulowanie spławu i żeglugi Dniestru, i założenie nad tą rzeką wielkiego portu składowego. Świetny ten plan, jak wiele innych naszych projektów, nie został jednak urzeczywistniony. Wkrótce potem zamknięcie Bosforu przez turków i opanowanie wybrzeży czarnomorskich w części przez nich, a w części przez tatarów, odparło Polskę od Morza czarnego, i handel tameczny został bardzo utrudniony i ograniczony. Za Stanisława Augusta wznowiono jeszcze zabiegi około podniesienia naszego handlu południowo-wschodniego, podjęto niewykonany dawniej plan uregulowania spławności Dniestru, zamierzono zawiązać wielkie towarzystwo handlowo-wywozowe z siedzibą w Jampolu — rozbiór jednak Polski przeszkodził tym wszystkim zamiarom.

Odtąd Rosji przypadło w udziale olbrzymie zadanie oswobodzenia słowian od jarzma tureckiego, i przełamania zapory stawianej im przez władztwo ottomańskie na wielkiej drodze przez Bosfor na Wschód południowy.

Gdy w czasie boju wojsk rosyjskich z polskimi konfederatami część tych ostatnich schroniła się na ziemię turecką, rosjanie w r. 1771 przekroczyli granice ottomańskie, spustoszyli ziemie tureckie i spalili meczet mahometański. Na wieść o tem, oburzeni mieszkańcy Carogrodu zmusili Portę do wojny z Rosją. Była to walka pełna grozy. Wojska rosyjskie pod wodzą Rumiancowa zajęły Mołdawję i Wołoszczyznę. Po dwu krwawych potyczkach nad Prutem i Kagułem, wzięły szturmem Bender. Jednocześnie turcy pustoszyli ogniem i mieczem Moreę, gdzie grecy w nadziei pomocy rosyjskiej podnieśli chorągiew powstania. Całe powiaty zasiane były trupem i gruzami, a z równą zawziętością toczyła się walka na morzu. Pożar floty tureckiej w przystani Czesmeh naprzeciwko wyspy Chios był tak okropny, iż w Smyrnie dało się uczuć trzęsienie ziemi, i morze poruszyło się jakby od burzy najgwałtowniejszej. Bej Egiptu powstał przeciw sułtanowi i łączył się z Rosją, a rozgłos powodzenia jej oręża grzmiał po Europie. Zdobyte jednak ziemie i półwysep krymski były zniszczone i wyludnione. Grzegorz Orłow główny kierownik państwa i brat jego Aleksy Orłow dowódzca sił morskich, obsypani zostali przez cesarzowę Katarzynę II bogactwy i zaszczytami. Po utracie twierdzy Szumli przystąpiła Porta do układów pokoju w Kuczuk-Kajnardżi z Rosją w r. 1774 zawartego, mocą którego przyznany został Rosji protektorat nad Mołdawją i Wołoszczyzną i wolny przejazd jej okrętom przez Dardanele, a tatarów krymskich ogłoszono niezależnymi od Porty ottomańskiej. Wkrótce jednak Potemkin, ulubieniec cesarzowej Katarzyny, niezadowolony warunkami pokoju kuczuk-kajnardżskiego, nakłonił próżnego i chciwego chana tatarów do złożenia najwyższej godności i dobrowolnego poddania się berłu imperatorowej. Wojska rosyjskie popierały te dyplomatyczne zabiegi i kruszyły opór tatarów, dopóki się całkiem nie poddali. Chan nie otrzymawszy jeszcze sum obiecanych popadł w niewolę turecką i przypłacił życiem zdradę. Osłabiona Porta, nie będąc w stanie powstrzymać zwycięzkiego pochodu rosjan, zmuszona została do uznania panowania Rosji nad Krymem, Tamanem i Kubaniem, aż po Kaukaz, i do przyjęcia uciążliwego traktatu handlowego.

Półwyspowi krymskiemu nadano dawną nazwę Taurji i sprowadzano osadników w stepy wyludnione. Liczny i zasobny grabieżą lud tatarski niszczał coraz bardziej, pyszne jego namioty ustąpiły koczowiskom cygańskim, a miasta i pałace chanów tatarskich rozpadły się w gruzy. Natomiast wkrótce zakwitły handlowe miasta Chersoń i Odessa, wzrosły szybko w bogactwo i rozległe stosunki zamorskie.

Wzmagająca się potęga Rosji budziła zawiść Anglji i Prus, pragnących przerwać jej szybkie postępy ku Bosforowi. Za ich namową Turcja przyciśnięta srodze w ostatnim pokoju wydała w r. 1778 powtórną wojnę Katarzynie II-ej. Ale i tym razem

zwycięstwo towarzyszyło armji rosyjskiej i jej wodzom. Potemkin zdobył wśród zimy warowne mury Oczakowa. Podwładny rozkazom jego Suworow, w połączeniu z wojskami austrjackiemi, pobił turków w kilku krwawych potyczkach i zdobył twierdzę Izmail *). Rosjanie mieli otwartą drogę do Carogrodu, a cesarzowa Katarzyna II marzyła o restauracji cesarstwa bizantyńskiego pod chrześcjańskim monarchą, którego w drugim jej wnuku Konstantym upatrywano. Gdy jednak zmarł cesarz Józef II sprzymierzeniec Rosji, następca jego Leopold, zwróciwszy turkom zagarnięte zdobycze i Belgrad, pokój z nimi zawarł, a Anglja groźną przybrała postawę, Katarzyna II skłoniła się do zawarcia w r. 1792 pokoju w Jassach, na mocy którego Dniestr miał stanowić granicę cesarstwa rosyjskiego i posiadłości tureckich.

W trzeciej nareszcie wojnie rosyjsko-tureckiej granice Rosji posunięte zostały aż do ujść Dunaju. Gdy podczas walki greków o niepodległość, sułtan Mahmud II, pomimo utraty całej floty wojennej pod Nawarynem, trwał uporczywie w postanowieniu przywiedzenia Grecji do posłuszeństwa, i postępował groźnie przeciw Rosji jej obronicielce, cesarz Mikołaj I wydał wojnę Turcji. Zwycięzki pochód armji rosyjskiej przez Bałkany pod wodzą generała Dybicza zabałkańskiego, i postępy jej aż do Adrjanopola znagliły Portę do przyjęcia w d. 14 września 1829 warunków pokoju adrjanopolskiego, w którym rzekę Prut, a od jej ujścia prawy brzeg Dunaju przyjęto za granicę państwa rosyjskiego. Jednocześnie zabezpieczono wolny handel Rosji na Dunaju i na Morzu czarnem.

Ostatnia wojna rosyjsko-turecka, w której wojska rosyjskie doszły pod Konstantynopol, zakończona w r. 1878 traktatem sanstefańskim, zmodyfikowanym przez kongres berliński, była śmiertelnym ciosem dla państwa ottomańskiego i panowania turków nad Bosforem i Carogrodem, którego oswobodzenie zupełne stało się tylko kwestją czasu.

*Konstantynopol i Skutari.**)*

Pomimo swej wielkiej przeszłości i bez wątpienia jeszcze większej przyszłości, Konstantynopol a raczej sam Stambuł robi wrażenie starej zaniedbanej rudery lub folwarku zostawionego w ruinie podczas długiego procesu, toczącego się między spadkobiercami.

Sułtan siedzi jeszcze w starej stolicy kalifów, bo na jego tronie chciwe zaboru mocarstwa nawzajem nikomu dotąd zasiąść nie pozwalają. Rząd turecki trzyma się jako stary porządek na starych gruzach, ale w obec ruiny finansowej państwa, od naj-

*) Opis tego zdobycia w „Don-Żuanie" Bajrona.

**) Szkic niniejszy drukowany był w warszawskiej „Gazecie handlowej" w r. 1884 w numerach 281 i 282.

niższego dozorcy aż do najwyższych dygnitarzy, wszystko żyje tam głównie z bakszyszów t. j. łapówek małych i dużych, w gotówce lub w naturze, jak się da. Skutkiem tego w Turcji, owej klasycznej ziemi starego despotyzmu azjatyckiego, panuje anarchiczna swoboda osobista, uderzająca podróżnika, nawet po przybyciu świeżo z krajów cywilizowanych liberalnych i konstytucyjnych.

W istocie faktycznie wolno w Turcji robić każdemu co mu się żywnie podoba, byleby tylko wsunął od czasu do czasu odpowiednią łapówkę komu należy. Wskutek tego Turcja z przyczyny swej ruiny ekonomicznej, finansowej i politycznej, z dumnego przedmurza mahometanizmu stała się krainą łapówek, ale zyskała za to swobodę pół-dzikości.

Pierwsza serja łapówek czeka podróznego zaraz na wstępie na terytorjum tureckie, na wodach i wybrzeżu przy wysiadaniu z okrętu. dla członków policji i urzędników celnych Jego Wielkości Sułtańskiej.

Nasyciwszy się uroczem wrażeniem wspaniałej panoramy Carogrodu, z pokładu parowca Loyda austrjackiego „Marsa", który przywiózł mię z Warny, dla wypoczynku zasiadłem, na jednym z wygodnych foteli biegunowych rozstawionych na pokryciu salonu klasy I-ej, oczekując aż ustanie tłok i zgiełk zwykły przy wysiadaniu pasażerów morskich. A wrzawa była niemała, bo ich lądowało przeszło 500 wszelkiego wieku i płci; parowiec nasz bowiem zabrał z Warny mnóstwo emigrantów tureckich, opuszczających masami złowrogą im Bółgarję, z całemi rodzinami, mnóstwem pakunków i sprzętów domowych. Trzymając nogi na kuferku podróżnym dla zabezpieczenia go od nieproszonych tragarzy, odpierałem ataki mnóstwa przewoźników morskich, komisjonerów i portjerów hotelowych, podsuwających mi z wykrzyknikami polecającemi swoje karty i adresy mniej lub więcej świetnie litografowane

Po przerzedzeniu się tłumu na głównym pokładzie, przyjąłem wreszcie kartę komisjonera „Hotel imperial" na Pera, gdzie naprzód już zamierzyłem stanąć. Przewodnik mój z akcentu niemczyzny, którą doń przemówiłem, gdyż wiedziałem że zarząd owego hotelu jest niemiecki, poznał żem polak i zaraz ku niemałemu zdziwieniu memu dalszą rozmowę prowadził ze mną po polsku, choć nieco łamanym akcentem, z którego ja znów domyśliłem się, że reprezentant „Hotel imperial" jest izraelitą. Był to w rzeczy samej, jak mi się sam przedstawił żyd ze Lwowa, człowiek młody, energiczny, żywy i elegancko ubrany, co wszystko razem widocznie ułatwiało mu połów pasażerów, gdyż wielki złocisty kaik „Hotel imperial" znalazłem już napełniony damami i panami przeważnie z I-ej klasy „Marsa". Druga wielka łódź zabrała nasze bagaże. Po kilkunastu poruszeniach wioseł, kaik nasz zatrzymał się w połowie drogi przy czółnie policji morskiej z rewizorem i dwoma strażnikami.

Tu nastąpiły oględziny paszportów, po większej części niby czytanych, często do góry nogami, a zarazem główna czynność poboru łapówek, mniej lub więcej zręcznie dawanych, ale zawsze bardzo zręcznie chwytanych przez członków policji. I nie dziw, ci biedacy dawno już nie widzieli pensji z kasy sułtańskiej, bo szczupłe wpływy skarbowe rozdrapują najprzód więksi dygnitarze; pora zresztą była południowa, a przecież nawet strażnik jeść potrzebuje.

Na marmurowych schodach wybrzeża komory celnej, pamiętających lepsze czasy Carogrodu, odbyła się również powierzchowna rewizja bagaży, a raczej wtykanie nowych łapówek celnikom przy wrzekomem otwieraniu nawpół waliz i kuferków.

Po tych „formalnościach" pasportowych i celnych, każdy przybysz do Konstantynopola jest wolny i swobodny jak ptak przez cały dzień, jeśli go w nocy rabusie gdzie nie obedrą, lub, co gorsza, w sposób mniej grzeczny nie przetną nici jego żywota.

Ponieważ policjanci tureccy, zwykle płatni przez rabusiów lub biorący udział w łupach „in natura", podczas napaści oddalają się jaknajbardziej od miejsca zbrodni, przeto rewolwer nabity starannie musi być na wszelki wypadek nieodstępnym towarzyszem, zwłaszcza bardziej ciekawego obserwatora, docierającego do zakątnych dzielnic ludowych, gdzie kryje się nędza i niestety zarazem liczne męty społeczne.

Po krótkim odpoczynku w hotelu i małem śniadaniu z wybornem winem węgierskiem, którego nie spodziewałem się tam znaleźć, wskoczyłem w tramwaj biegnący wielką ulicą Pery na przedmieście Ferikiej, do pięknej willi mej krewnej, ciotki Justyny Yordanowej stale tam mieszkającej, u której przez cały czas pobytu mego w Carogrodzie miłą znalazłem gościnę. Kamerdyner miejscowy, Zaleski, dawny emigrant polski, znający na wylot cały Konstantynopol i mówiący dobrze po turecku, był nadal moim przewodnikiem.

Zaraz tegoż samego dnia z nowym towarzyszem ruszyliśmy do Stambułu wagonem tramwajowym, dość brudnym i odrapanym. Koń za to był dzielny i rasowy, jak wszystkie wogóle konie na wschodzie spotykane, nawet w najlichszych zaprzęgach.

Na węższych ulicach, zwłaszcza na tak zwanej Wielkiej ulicy Pery, tłumy pieszych snują się tak gęsto, nietylko chodnikami, lecz całą szerokością ulicy, że przed każdym wagonem tramwaju kłusować musi, na kilkanaście kroków przed koniem, drab o silnych nogach, rodzaj laufra czy pajuka, z kijem w ręku dla rozsuwania tłumów i robienia drogi. Opornym, nie ustępującym odrazu, dostaje się po grzbiecie za nieposzanowanie własnego życia. Obok konduktora i woźnicy tramwaju, trzeci ten urząd laufra jest gdzieindziej nieznany, a przewodnik mój zauważył z dumą:

„U nas, panie, i za dziesięć rubli na dzień nie znalazłby człowieka do takiego rzemiosła".

Przebywszy dalej pieszo po szerokich schodach brukowanych spadzistą ulicę Juksek-kaldirim, prowadzącą z górnej części Pery na wybrzeże morskie Galaty, i główny most przez który dziennie przechodzi około 100,000 osób w obie strony za drobną opłatą groszową, stanęliśmy na terytorjum Stambułu w pobliżu Eski-Seraju i Aja-Sofji.

W głównej bramie Seraju starego, znudzony szyldwach, przechadzający się niedbale, nie zwrócił na nas wcale uwagi.

Rozległe terasy ocienione tam wszędy przez wielkie platany i smukłe cyprysy.

Na uboczu szemrze omszała fontanna.

Ze szczytu góry zamkowej, u podnóża starego Pałacu cesarzów bizantyńskich nagle roztwiera się przed nami wspaniały, niezrównany widok na cały Bosfor, Galatę, Skutari, brzegi Azji mniejszej i Morze marmora z Wyspami książęcemi, jaśniejące we mgle widnokręgu, opromienione złocistym blaskiem słońca.

Patrząc ztąd na rozkoszne wybrzeża morskie dwóch części świata i dwóch mórz — nie dziw, że potężny Mahomet II, władztwa chciwy syn Murada, zapragnął zdobyć Carogród — nie dziw, że wielkomyślny Konstantyn, ostatni imperator Wschodu, po 50-dniowem oblężeniu, w r. 1453, rzucił się rozpacznie w straszny wir walki i poległ na wałach swej pysznej stolicy.

Odtąd dumna Bizancja, siedziba dawnej starożytnego świata wielkości, zamieniła się w rezydencję sułtana-kalifa, następcy proroka Mahometa. Olbrzymią katedrę św. Zofji zamieniono na meczet, mieszkańcom chrześcjańskim narzucono jarzmo niewoli, a na gruzach władztwa greckiego zatknięto w tryumfie półksiężyc w miejsce krzyża, w dobie gdy właśnie na Zachodzie świtały pierwsze brzaski odrodzenia ludzkości.

Dziś dwaj zażarci niegdyś zapaśnicy: mahometański kalifat stambulski i chrześcjańskie papieztwo rzymskie, po krwawych walkach wiekowych wojen krzyżowych między sobą, a z duchem cywilizacji zobopół, chylą się szybko do zupełnego upadku.

Kalifat stambulski w Seraju a papieztwo rzymskie w Watykanie, na stosach bogactw zbieranych z dwóch połów świata — przez zniewieściałość, rozpustę i zbrodnie swych pysznych władców, giną dziś w gruzach własnej ciemnoty i obskurantyzmu, niezdolne powstrzymać wielkich prądów wspaniałego rozwoju postępu ogólno-ludzkiego.

Europa potężna światłem wiedzy, odrodzona odkryciami geńjuszów, odmłodzona wielką reformacją protestancką, obmyta strumieniami krwi wielkiej rewolucji XVIII w., zrzuca z siebie na Wschodzie i Zachodzie despotyczne jarzmo teokracji papiezkiej i sułtańskiej, wypiera je nazad do Azji, zkąd przyszły i rozpościera coraz szerzej pokojowe władztwo ducha ludzkości i cywilizacji we wszystkich częściach świata!

W portyku Aja Sofji, dyżurny iman czyli ksiądz turecki zażądał przedewszystkiem z góry łapówki za oględziny świątyni. Po długim targu przy pośrednictwie mego przewodnika, wsunąłem w łapę szanownemu imanowi srebrną medżidję (około 5 franków) z warunkiem aby za tak sowitą zapłatę pokazał nam wszelkie osobliwości gmachu i jego górne galerje. Czcigodny ów kapłan okazał się jednak zarówno chciwym jak niesłownym. Doprowadziwszy nas bowiem do wielkiej galerji chóru zdał nas oraz nasze sakiewki innemu koledze, do którego należał wyzysk górnych pięter świątyni, i trzeba było wetknąć znów drugą łapówkę.

Po złożeniu przez nas haraczu pierwszemu imanowi, tenże z wielką powagą i uroczystą miną oznajmił, że musimy zdjąć trzewiki. Niewiele myślący spełniliśmy ten pobożny zwyczaj i nadziawszy nasze kapelusze napowrót na głowę, ruszyliśmy po cienkich matach wielkiej nawy, każdy z parą swych trzewików w ręku. W całym meczecie nie było nikogo prócz innego imana, który siedząc na ziemi czytał z urzędu ociężałym głosem złocisty Koran, rozłożony na miejscu dawnego wielkiego ołtarza. Ciekawych mądrości Mahometa w Stambule niewiele widocznie, gdyż nikt słów jego słuchać nie przychodził. Oprowadzający nas iman wskazał nam między innemi z odcieniem dumnej tolerancji, wysoko na sklepieniu niewyraźne resztki postaci Chrystusa, wychylającej się z pomiędzy późniejszych złocistych mozajek i arabesków.

Na wychodnem z meczetu spotkaliśmy na ulicy gołego świętego tureckiego, o głupowatych oczach, śniadej brudnej twarzy, z rozczochraną głową i długą brodą. Mężczyźni oddawali mu uroczyste pokłony, a kobiety i dzieci całowali ślady stóp jego.

Przebywszy malownicze arkady wielkiego bazaru Bujuk Czarszi, (gdzie zakupiłem mały nargil do palenia tytoniu po turecku, noże, łyżki orjentalne i kilka innych drobiazgów z biżuterji) idąc dalej trafiliśmy na dziedzińcu olbrzymiego meczetu Bajazeta na religijne karmienie gołębi. Stada tego szczęśliwego próżniaczego ptactwa karmi się tam z sutych zapisów pobożnych bogaczów mahometańskich, którzy w dobroczynności swej pośmiertnej nie zapominają nawet o gołębiach.

Na stacji Kum-Kapu kolei obwodowej, otaczającej Stambuł od morza, wsiedliśmy do przechodzącego pociągu, i wkrótce znaleźliśmy się w pobliżu Jedikuły czyli tak zwanego Zamku siedmiu wież. Potężnych jeszcze ruin zamczyska, w którem ongi jęczało w kajdanach niemało jeńców polskich, strzeże obecnie stary inwalida turecki, tak zwany kapudżi cz. odźwierny. Starowina za bakszysz obiecany, nie mogąc nam dla braku sił towarzyszyć, zostawił nam zupełną swobodę w zwiedzaniu ponurej cytadeli. Korzystając z tego, przebiegaliśmy ciekawie jej wszystkie kryjówki, podziemne przejścia, ciemne spiralne

schody ukryte w potężnych murach i basztach, wreszcie po parogodzinnych oględzinach wyszliśmy z podziemnych lochów drugą stroną dziedzińca. Chcąc dać bakszysz należny, zbliżyłem się do starca siedzącego w cieniu platanów na ławie w towarzystwie paru młodych wojskowych, i kłaniając się na pożegnanie, wsunąłem mu w rękę kilka drobnych monet. Zdziwiony zrazu starzec oddaje mi je ze śmiechem, wskazując, że napiwek ów należy się zapewne kapudżemu, który właśnie biegł zdyszany w tę stronę. Pomyłka moja wywołała ogólną wesołość. Stary bowiem wojskowy któremu niewłaściwie dałem bakszysz, jak się pokazało, był baszą, zajmującym jeden z wyrestaurowanych pawilonów Zamku. Pomyłka moja nastąpiła wskutek wielkiego podobieństwa dwóch starców, paszy i odzwiernego, zwłaszcza że mundury zwyczajne wojskowych nawet rang wyższych są bardzo skromne, i mundur paszy generała bardzo mało się różnił od ubioru weterana odźwiernego. Ten ostatni tylko drżał jeszcze ze strachu i obawy utraty miejsca, że nas puścił samych, a nawet powziął podejrzenie nie widząc nas tak długo, czy nie przybyliśmy do zamku w zamiarze podstępnego uwolnienia której z pięknych grzesznic pokutujących w więzieniu kobiet, mieszczącem się obecnie w murach Jedykuły.

Przez poblizką bramę miejską Jedikule-Kapu ruszyliśmy dalej dla zwiedzenia wielkiego meczetu i klasztoru mnichów derwiszów, i przypatrzenia się ich osławionemu tańcowi religijnemu. Przed drzwiami meczetu na dziedzińcu leżało kilkaset par przeróżnych pantofli, należących do wiernych przybyłych na owo dziwaczne nabożeństwo. Taniec derwiszów jest idjotyczny, bardziej idjotycznemi jednak są fizjognomje młodych i starych mnichów, mimo wymuszonego namaszczenia, z jakiem wykonywają swój balet.

Za to prawdziwie uroczystem i pełnem niewysłowionej poezji jest olbrzymie cmentarzysko mahometańskie na wybrzeżu Azji mniejszej, pomiędzy Skutari a wsią Hajdar-pasza. Jest to rozległy gaj wielkich cyprysów, przecięty mnóstwem dróg i ścieżek. Niezwykłej grubości i wysokości odwieczne drzewa smutku ocieniają miljony grobów.

Cicho tu i pusto.

Tylko ponury szum gaju śpiewa smętną pieśń upadku Islamu.

Między mnóstwem rzeczy godnych widzenia i bliższego badania w Konstantynopolu, jednem z najbardziej interesujących jest pełne rzadkości muzeum Czinili-kiosku, tak zwane od swego pomieszczenia w pawilonie zdobnym taflami fajansowemi.

Budynek ten w stylu maurytańskim, na stoku góry w ogrodach Starego Seraju położony, zdobi od frontu kolumnada 14 słupów czworościennych. Nad głównem wejściem wmurowano płyty fajansowe, na których pysznem tle znajduje się napis objaśniający o wzniesieniu budowli. Tafle te i napis są arcydziełem ceramiki i kaligrafji tureckiej.

Z obu stron obszernego przedsionka pomieszczono dwie kolosalne statuy. Jedna przedstawia bóstwo fenickie znalezione na Cyprze w Amatusie, przypominające stylem rzeźby sztukę asyryjską. Naprzeciw tego grubej roboty zabytku ustawiono wielki posąg Jowisza siedzącego, znaleziony w Gazie w Palestynie 1880 r.

Sale wewnętrzne muzeum mieszczą mnóstwo mniejszych i większych posągów i odłamków rzeźby, przeważnie starogreckiej. Bogatym jest również zbiór płaskorzeźb i sarkofagów z czasów rzymskich, figurek z gliny palonej przeważnie z Cypru i ważnych napisów, zebranych w różnych prowincjach państwa ottomańskiego.

Najcelniejszą i najdrogocenniejszą ozdobą muzeum Czinilikiosku jest. znaczna część wykopalisk trojańskich Schliemana, których większość miałem sposobność podziwiać później w Atenach, w tamecznem muzeum narodowem.

Drobne wykopaliska naczyń, broni, narzędzi i t. p. pomieszczone są w salach bocznych, a cenny zbiór numizmatów czeka na uporządkowanie.

Wielka bibljoteka sułtańska w Starym Seraju obejmuje mnóstwo ciekawych rękopisów łacińskich i greckich z czasów cesarstwa bizantyńskiego, oraz arabskich, perskich i tureckich.

Opisywanie wszystkiego co Bosfor i Konstantynopol mają godnego uwagi pod względem malowniczym, architektonicznym, ekonomicznym, politycznym, społecznym i obyczajowym — zabrałoby całe tomy. Rzeczy to zresztą przeważnie już znane; dlatego ograniczyłem się do przedstawienia w tych szkicach tylko wybitniejszych rysów i szczegółów charakterystycznych.

W dalszą drogę zawizowałem mój pasport w konsulacie rosyjskim przy Wielkiej ulicy Pery, gdzie zalecono mi wyrobić sobie pasport turecki czyli tak zwane „teskere“. Otrzymałem je bez trudności, za małą opłatą na blankiecie z herbem państwowym i pieczęcią urzędową od komisarza policji portowej, który zapytał mię tylko w jakim celu jadę dalej na Wschód? Odpowiedziałem krótko, że w interesach przemysłowo-handlowych, jako redaktor i korespondent gazet warszawskich.

Jeśli z zachwytem witałem Konstantynopol w pełni blasku południa, to żegnałem go nie bez żalu, tak wspaniały i uroczy w półcieniu tajemniczym wieczoru pogodnego, gdy na austrjackim wielkim parowcu „Mars“ ruszyłem w dalszą drogę.

Na blado-złocistem tle zorzy wieczornej rysowały się ciemno-niebieskie gigantyczne kontury Starego Seraju i olbrzymie kopuły meczetów z smukłemi minaretami.

Rozległy obszar Stambułu i sąsiednie wybrzeża morskie zwolna niknęły we mgle nocnej, a na szafirowem sklepieniu niebios zapalały się kolejno gwiazdy coraz jaśniej.

Łagodny wietrzyk i cicha fala kołysały zlekka nasz statek sunący szybko ku Grecji.

Grecja i Ateny nowożytne.)*

Na ruinach olbrzymiego władztwa Ottomanów zakwitły na nowo życiem młodzieńczem świeżo odrodzone ludy i krainy.

Młoda Grecja potokami krwi okupiła wolność swą, a synowie jej okazali się godnymi potomkami walecznych z pod Termopilów. To też dziś rozkwit tej pięknej krainy stosunkowo jest bardzo szybki, a będzie nierównie świetniejszym, gdy siły narodu wzmogą się przez zjednoczenie wszystkich ziem greckich jeszcze nieoswobodzonych.

W dziejach narodu greckiego niewiadomo co bardziej podziwiać: czy dawną jego wielkość czy bohaterstwo wyzwolenia. Grecy dzisiejsi dumni są zarówno ze wspomnień boskiej Hellady, jak i z walk odrodzenia swego, i mają być z czego dumni zaiste!

Szczęśliwi bo.... wolni, a wolność obsypuje szczodremi dary dzielnych swoich synów.

Nic bardziej pocieszającego nad owo odrodzenie Grecji. To zwycięstwo sił duchowych w obec orgji współczesnej przemocy militaryzmu. Jest ono tem bardziej podziwu godne im głębszym był Grecji upadek. A wielkim on był odrazu przed wiekami już w czasach Aleksandra. Nadludzkie wysiłki Demostenesa nie zdołały go opóźnić. Gdy Pauzanjasz i Plutarch pisali Grecja była już prawie pustynią. Na trzy wieki pierwej Polibjusz zaznaczał szybki upadek ludności. Barbarzyńcy, a potem frankowie, wenecjanie i turcy dokonali reszty dzieła zniszczenia.

Na początku XIX wieku Grecja przedstawiała tylko szereg ruin, ale z pośród ruin tych wyszli bohaterzy oswobodzenia, a gdy wolność roztoczyła swe skrzydła nad nieszczęsną krainą, życie wszędzie zadrgało na nowo.

Odrodzenie narodu greckiego nie jest zjawiskiem odosobnionem. Przeciwnie jest ono następstwem i wytworem owego wielkiego prądu wolności, który druzgocze stare zmurszałe budowy teokracji i despotji mahometańskiej, papieskiej i państwowej, stawiając natomiast zasady swobodnego rozwoju narodowości, wolności politycznej, postępu wiedzy i oświaty powszechnej.

W naszych niemal oczach odrodziły się w ten sposób oprócz Grecji — Włochy, Rumunja, Serbja, Bółgarja, Czechy i inne narody napół obumarłe, lub szamoczące się wieki całe już to pod jarzmem ottomańskiem, już w sieci intryg jezuickich papizmu, lub wreszcie pod uciskiem systemu meternichowskiego niemców.

Jeśli jakie zjawisko fizjologji społeczno-narodowej godnem jest bliższej obserwacji, to zaiste owa faza odradzania się ludów

---

*) **Szkic niniejszy drukowany był w tygodniku warszawskim „Wędrowiec" z r 1886 w numerach 22 i 23.**

oswobodzonych. Wędrówka moja po ziemiach słowiańskich i na Wschód południowy przez Czechy, Węgry, Serbję, Rumuńję, Bółgarję i Grecję — pod owym względem przedstawiała tyle pocieszających i nieocenionych danych, że wynagrodziły one stokrotnie najcięższe trudy.

Parowiec Lloyda austrjackiego „Mars", na którym z Carogrodu zdążałem do brzegów Attyki, minąwszy nocą liczne wyspy i wysepki Archipelagu greckiego, stanął w porcie Pireu o świcie dnia 5 listopada 1882 roku.

Od strony wschodu coraz szerzej i wyżej zalewała mroczne stropy niebios złotawa jasność rodzącego się dnia, a na tle jej świetlanem odrzynały się wyraziście czarne grzbiety wzgórz otaczających port pirejski i dalsze szczyty Hymetu.

Rozległe dziś miasto drzemało jeszcze wśród ciszy poranka, ale w przystani ruch zwolna budzić się poczynał. Łodzie rybackie wymykały się jedna za drugą na połów, a mnóstwo przewoźników otoczyło nasz statek ze swojemi barkami. Za drachmę jeden z tych zuchów przewiózł mię szybko z moim sakwojażem na wybrzeże placu Apollina; stamtąd pieszo w parę minut stanąłem w pobliskim dworcu kolei ateńskiej. W ciągu kwadransa pociąg przeniósł mię do stóp Akropolu. Już z okien wagonu pobożnem okiem pielgrzyma witałem święte szczyty Partenonu, ozłocone promieniami jutrzenki.

Z Tezejskiego dworca kolei główną ulicą Hermesa pośpieszyłem złożyć w „Hotelu Attyki" mój ręczny kuferek, i orzeźwić powieki wodą po nocy bezsennej, spędzonej na pokładzie parowca, pod gwieździstym stropem niebios, wśród marzeń i rozmyślań o pięknej ojczyźnie sztuki i wolności.

Pokrzepiwszy się naprędce małem śniadaniem, pierwsze kroki skierowałem niezwłocznie na szczyty Akropolu.

Z „Hotelu Attyki", położonego naprzeciw pałacu królewskiego przy głównym Placu konstytucji (Plateja Sintagmatos), przez wielką ulicę Hermesa i labirynt starego miasta, rojącego się tłumem malowniczym, dostałem się wkrótce na drożynę wiodącą do odwiecznej cytadeli Aten.

Minąwszy u bramy wchodowej natrętnych przekupniów fałszywych starożytności, zostałem wpuszczony wewnątrz przez starych weteranów wojskowych, pełniących obowiązki stróżów ruin.

Pierwszy dziedziniec zaraz na wstępie przepełniony jest odłamami rzeźb starogreckich, tablicami napisowemi i niewielką ilością tureckich kamieni grobowych. Minąwszy bastjon, na którym się wznosi mała świątynia Ateny zwycięskiej, dochodzimy do głównej bramy Akropolu tak zwanych Propileów. Potężną tę budowę otacza zprzodu i ztyłu również tysiące odłamów kolumn, kapiteli, piedestałów, tablic napisowych i t. p. szczątków rozstawionych bezładnie. Złomy marmurów tych śnieżnej białości i ciosy wschodów wygładzonych stopami tysiąca poko-

leń, olśniewają wzrok blaskiem tak rażącym wśród promieni słońca południowego, że mimowoli trzeba szukać w cieniu Propileów dłuższego spoczynku dla wzroku.

Przez rozległe terasy i stopnie w skale wykute stajemy nareszcie przed boskim Partenonem. Arcydzieło to budownictwa greckiego pomimo smutnego zniszczenia oblężeń wojennych, pomimo barbarzyńskiego rabunku lorda Elgina, tchnie jeszcze takim majestatem piękna, taką harmońją spokoju, że mimowoli chyli się czoło w hołdzie przed genjuszem sztuki heleńskiej i rozstać się trudno z wiekową ciszą tego szczytnego przybytku bogini Mądrości.

Za Partenonem i Erechtejonem, ukazującym tuż obok swe piękne karjatydy, na południo-wschodnim krańcu płaszczyzny Akropolu kryje się skromny gmach muzem miejscowego, obejmujący specjalnie wykopaliska i odłamy ruin akropolskich. Gmach ten wykonany w latach 1864—1865, pomieszczono umyślnie w dole, aby nie wystawał ponad stare mury i nie psuł pospolitością swą klasycznego zarysu ruin. Sale I i II muzeum obejmują przeważnie piękniejsze piedestały, posągi, odłamy rzeźb i architektoniczne. Między wielu zabytkami z okresu archaicznego rzeźby greckiej, uderza tu kolosalny posąg Ateny w postawie siedzącej. Sale III i IV zawierają pozostałe na miejscu oryginalne rzeźby Partenonu i odlewy gipsowe rzeźb zagrabionych zeń do Londynu. Sala V mieści godne uwagi płaskorzeźby z balustrady świątyni Ateny zwycięskiej i szczątki Erechtejonu; sala VI odłamy architektoniczne i piedestały posągów z pięknemi płaskorzeźbami; wreszcie w salach VII do X przechowane są mnogie tablice napisowe.

Z wyżyny Akropolu roztacza się wokół wspaniały widok klasycznej równiny Attyki, na morze, wyspy Salaminę, Eginę i wybrzeża Peloponezu. Z przeźroczego szafiru zatok morskich wznoszą się w dali malownicze perspektywy gór. Po zachodzie słońca zwłaszcza gra barw krajobrazu jest czarowna. Pasma górskie, wznoszące się jedne za drugiemi, przedstawiają wtedy wszelkie odcienia kolorów niebieskich, aż do niezrównanego ciemnego fioletu, odrzynającego wyraziście krawędzie wyżyn na purpurowo-różowej jasności niebios.

Przeźrocz powietrza, bez żadnych przyćmień mgły, jest tu uderzająca. Czystość linij i barw krajobrazu greckiego wychodzi z niej niepokalana w najgłębszych perspektywach. Jeśli natura otaczająca oddziaływa na ducha twórczego artyzmu, to niewątpliwie te charakterystyczne przymioty malowniczej przyrody greckiej musiały wywierać zawsze wpływ, mianowicie na harmońję i czystość linij w architektonice. W dzisiejszych nawet budowlach Aten i domach najskromniejszych, zalety owe rzucają się wszędzie w oczy zwykłemu nawet podróżnemu.

Wędrówki mej dalszej po dolnych ruinach i zabytkach starych Aten i ich okolicach nie będę opisywać, niepodobna doko-

nać tego w treściwym szkicu. Zresztą niezrównanego piękna pomniki takie jak: Tezejon, Olimpiejon, ruiny amfiteatrów Dionizosa i Heroda, szczątki areny Stadjonu, Alei grobów i tysiące innych pomników starej Grecji zbadane zostały i opisane wszechstronnie w dziełach niezliczonych i mnogich ilustracjach. Natomiast zwrócę uwagę na mniej stosunkowo znane, a ze wszech miar godne bliższego poznania nowe instytucje naukowe i muzealne Aten dzisiejszych, będące żywem źródłem cennych badań zarówno dla greckiej ojczyzny, jak i całego świata cywilizowanego.

Wzrost stolicy Grecji podobnie jak kraju całego, od czasu oswobodzenia z pod jarzma tureckiego, był niesłychanie szybki. Podczas gdy Ateny w epoce wojen wyzwolenia były małą tylko albańsko-turecką mieściną, liczącą zaledwie 2.000 mieszkańców, ludność ich wzrosła stopniowo do 70.000, a licząc wraz z portem Pireus liczy przeszło 100 000.

Do wzrostu takiego stolicy przyczyniło się głównie osiedlenie rezydencji królewskiej i dworu, zogniskowanie władz centralnych, rozwój znakomity handlu, marynarki, oświaty i zakładów naukowych.

Z tych ostatnich, wiele byt swój zawdzięcza hojnej ofiarności patrjotów, wzbogaconych za granicą jeszcze na emigracji. I tak Obserwatorjum astronomiczne ateńskie wzniesione zostało kosztem barona Sina z Wiednia. Syn jego upiększył stolicę, z książęcą iście szczodrobliwością — przepysznym gmachem Akademji nauk. Bernardakis z Petersburga złożył większą część funduszu na budowę Muzeum narodowego, jak niemniej Uniwersytetu, wzniesionego przeważnie z ofiar patrjotów. Większa część zbiorów naukowych i majątku uniwersyteckiego pochodzi również z zapisów prywatnych. Wreszcie wspaniała budowa Politechniki i inne zakłady, nazwane od imion swych założycieli, jak: Arsakion główna szkoła żeńska nauczycielek, Rizarion seminarjum nauczycieli, Varvakion gimnazjum męzkie; nakoniec wiele szpitali, domów ubogich, sierot i podrzutków zawdzięcza swoje powstanie ofiarności obywateli kraju.

O ile pałac królewski, wznoszący się wśród wielkich ogrodów egzotycznych i pałac parlamentu odznaczają się wielką prostotą budowy, o tyle główne gmachy poświęcone umysłowości, mianowicie akademja nauk, uniwersytet i politechnika, przyodziały się całym przepychem i blaskiem architektury greckiej.

Wspaniały gmach Akademji umiejętności, wzniesiony wedle planu budowniczego duńskiego Hansena, przy ulicy Uniwersyteckiej, cały z białego marmuru pentelikońskiego, olśniewa śnieżnym blaskiem i wielkiem bogactwem złocistej ornamentyki. Przed obu skrzydłami budowy tej wznoszą się dwie smukłe kolumny z posągami. Na szczytach frontonu i skrzydeł mieszczą się płaskorzeźby artysty ateńskiego Leonidasa Drossisa, odtwarzające w pomniejszeniu, wedle pozostałych szczątków, Fidja-

szową grupę „Narodzin Ateny“ z Partenonu. Instytucja Akademji jest nowa, działalność swą niedawno zaczęła, a mimo to rokuje jak najlepsze nadzieje dla rozwoju umysłowości greckiej.

Pobliski Akademji gmach Uniwersytetu, wystawiony w latach 1837—42, również wedle planów budowniczego Hansena, odznacza się nader udatną polichromiczną ozdobą. Przed gmachem tym nalewo wznosi się posąg poety Rigasa, słynnego założyciela Heterji czyli stowarzyszenia narodowego, które rozbudziło ducha wolności i było zwiastunem walk o niepodległość; Rigas, jako pierwszy męczennik wolności, został w r. 1797 przez nienawidzących go turków zamordowany. Z prawej strony uniwersytetu stoi posąg patrjarchy greckiego Gregoriosa, powieszonego w Konstantynopolu przez rozjuszone tłumy mahometan. Główną fasadę uniwersytetu zdobi wspaniały portyk; wewnątrz podwójna kondygnacja schodów i korytarze prowadzą do czterech głównych audytorjów, po jednem dla każdego wydziału.

Wszechnica ateńska, otwarta w r. 1837, urządzona na wzór najlepszych uniwersytetów europejskich, ma cztery wydziały: filozoficzny, prawny, medyczny i teologiczny. Na czele ich stoją dziekani. Wykłady prowadzi około 60 profesorów i 35 prywatdocentów, którzy pobierali wykształcenie przeważnie w Niemczech i we Francji. Liczba ogólna studentów w r. 1882 wynosiła około 2.600, z których większość uczęszcza na prawo i medycynę, a blizko czwarta część pochodzi z kolonij greckich i państwa tureckiego. Wielu studentów jest bardzo biednych i utrzymuje się przeważnie z lekcyj, udzielanych w domach bogatszych rodzin ateńskich. Wszystkie przedmioty wykładowe są obowiązujące. Wszechnica ateńska nie zostaje pod zwierzchnictwem ministerjum oświaty, posiada zupełną autonomję; sama również opłaca swych profesorów. Posiada bogaty księgozbiór, liczący przeszło 10.000 tomów, gabinet numizmatyczny, muzeum anatomiczne i piękne zbiory przyrodnicze. Cały majątek uniwersytetu ateńskiego powstał z hojnych zapisów patrjotów, przeważnie Papadokisa, i wynosi około 5,000.000 franków.

Gmach Politechniki ateńskiej, wznoszący się przy końcu ulicy Patissji, jest niemniej okazały jak dwa poprzednie; skrzydła jego zdobią szerokie kondygnacje schodów i piękne kolumnady. W czasie pobytu mego w Atenach w r. 1882, odbywała się w Politechnice wystawa konkursowa prac młodych artystów, świadcząca o ruchliwej ich pracy w kierunku sztuki.

Politechnika ateńska mieści nieocenione zbiory Towarzystwa archeologicznego greckiego, zbiory starożytności mykeńskich i zbiór starożytności egipskich.

Towarzystwo archeologiczne greckie, założone w r. 1837 przez grono patrjotycznych hellenów, rozwija zwłaszcza od roku 1859 wielce ruchliwą i płodną działalność. Dowodzą tego między innemi odkrycia świątyni Eskulapa i teatru Dionizosa na stoku

południowym Akropolu, jak niemniej Alei grobów i wielu innych cennych pomników. Wykopaliska we wsi Spata i w Asklepionie pod Epidaurem, a po części i w Mykenie, zawdzięcza nauka również temu towarzystwu. Liczne swe środki poświęca ono nietylko na wykopaliska, lecz także na konserwację pomników i ruin, stojących pod gołem niebem. Biegli nadzorcy z ramienia towarzystwa mają pieczę nad wszelkiemi nowemi wykopaliskami w Atenach i na prowincji, przyczem inwentarze prowadzą z największą ścisłością. Zbiory instytucji tej stoją zawsze otworem dla badaczy. Poprzednio mieściły się one w teraźniejszym gmachu gimnazjum Varvakion; od r. 1881 przeniesione zostały do Politechniki. Zbiory te składają się przeważnie z wykopalisk grobowych, statuetek glinianych i naczyń malowanych. Między innemi, słynna kolekcja terrakot z grobowisk Tanagry w Beocji, odznacza się wielką delikatnością wykończenia i należy do najciekawszych w swoim rodzaju.

Swietny zbiór starożytności mykeńskich i pokrewnych mieści się na pierwszem piętrze korpusu Politechniki. Główną podstawę tej kolekcji stanowią wykopaliska Schliemana w Mykenie. Znakomity ów starożytnik, który pierwej już swemi wykopaliskami trojańskiemi wzbudził ogólny podziw świata naukowego, prowadził swe prace w Mykenie pod pieczą i nadzorem greckiego Towarzystwa archeologicznego. Schlieman odkrył tam na zachodniej stronie akropolu mykeńskiego okrągłą budowę, obejmującą pięć grobów prostokątnych różnej wielkości wykutych w litej skale, których zawartość dotąd od wieków jeszcze była nietknięta. Jednostajne wykonanie i wewnętrzne urządzenie grobowisk tych wskazywało, że należały one do jednego czasu i ludu. Grobowiska te obejmowały 15 zwłok dorosłych, w tem prawdopodobnie 2 kobiet i zdaje się 2 dzieci. Zwłoki owe, wedle starożytnego zwyczaju, otoczone były prócz odzieży, licznemi klejnotami, ozdobami, bronią i naczyniami, a to w ilości, w jakiej się dotąd w żadnym tego rodzaju zabytku nie napotykały. Większa część naczyń, zwłaszcza dużych puharów i ozdób ze szczerego złota, przedstawia ogółem wartość przeszło 100.000 fr. Odkrycie to wywołało w swoim czasie wśród specjalistów liczne spory co do pochodzenia i epoki grobowisk, i podczas gdy pierwotnie Schlieman uważał je za groby Agamemnona i jego rodziny, inni odnosili je do III lub IV wieku po Chrystusie.

Obok pultów, olśniewających bogactwem i rozmaitością okazów grobów mykeńskich, mieszczą się skromniejsze pulty z zabytkami grobów ze skał wsi Spata, grobu kopułowego w Menidi i inne. Wszystkie te zabytki pokrewne wykonaniem, noszą cechy jednej epoki oraz blizkich sobie stopni rozwoju kultury, i stanowią najcenniejsze perły zbiorów Politechniki.

Do zbiorów tych należy ieszcze piękna kolekcja starożytności egipskich, ofiarowana w r. 1880 przez H. Dimitri'ego z Aleksandrji.

Postępując dalej ulicą Patisji zaraz za Politechniką, dochodzimy do okazałego gmachu Muzeum narodowego, fundacji petersburskiego greka Bernardakisa. Budowa ta, rozpoczęta w roku 1860, mieści w sobie większą część zabytków rozproszonych dawniej w Tezejonie, w tak zwanej Wieży wiatrów i innych prastarych budowlach Aten, oraz mnóstwo innych nowszych wykopalisk, pochodzących ze wszystkich prowincyj greckich. Na obszernym dziedzińcu muzeum ustawiono wielką ilość kolumn grobowych, sarkofagów, tablic napisowych i t. p., na wzór starych cmentarzysk.

W głównej sali zwraca uwagę również mnóstwo rzeźb grobowych i piękny posąg Hermesa z epoki Aleksandra W. Perłą sali III muzeum są płaskorzeźby Eleuzyńskie, pochodzące z epoki najwyższego rozkwitu sztuki greckiej. Niezliczone mnóstwo posągów, biustów, posążków, naczyń i pomniejszych przedmiotow, od czasów najdawniejszych starogreckich aż do epoki rzymskiej i późniejszych, stanowi niewyczerpany materjał dla badaczy.

Pod względem bogactwa pomników starogreckich i zbiorów archeologicznych, Ateny stoją wprawdzie na czele, nie zbywa jednak na tem i w innych okolicach, a nawet pomniejsze grody mają swoje muzea wielce interesujące. Wycieczki w okolice Aten do Eleusis, wsi Spata, Maratonu a nawet dalsze do Koryntu, Mykeny, Olimpji i innych, przy dzisiejszych środkach komunikacji znacznie ułatwione i mniej kosztowne, nie narażają na niebezpieczeństwa podobne, jak w czasach dawniejszych, za barbarzyńskich rządów tureckich.

Z uspokojeniem wrzawy wojennej i walk bohaterskich powstania, Grecja skupiając zwolna swe siły umysłowe, gromadząc zabytki dziejowe sztuki, wzięła się dzielnie do pracy. Ludność jej wzrastała stopniowo, a jednocześnie wzmagał się ekonomiczny rozwój kraju. Przyłączenie rzeczypospolitej Wysp jońskich w roku 1863, a potem Tessalji, wlało w organizm narodowy nowe wyrobione żywioły społeczno-państwowe porządku, karności, i rozszerzyło znacznie terytorjum.

Do odrodzenia Grecji przyczynił się niemało stopniowy powrót do kraju ojczystego, a głównie do Aten, wielu rodzin inteligentnych i bogatych, które wśród dawnych zamieszek, rzezi i pożogi tureckiej zmuszone były szukać schronienia za granicą, gdzie długo tworzyły kolonje rozproszone w Wenecji, Liworno, Marsylji, Londynie, Wiedniu, a nawet w Amsterdamie, prowadząc tam na wielką skalę żeglugę morską, hurtowy handel zbożowy i domy bankowe. Wiele z tych rodzin porobiło na emigracji olbrzymie majątki, a wracając do kraju ojczystego, złożyło mu w ofierze wiedzę swą, mienie i rozległe stosunki. Mnóstwo zakładów naukowych, instytucyj dobroczynnych, szpitali i wspaniałych budowli publicznych, jak to powyżej zaznaczyłem, za-

wdzięcza swe powstanie ofiarności tych zacnych i dzielnych wygnańców. Nawzajem wracając do ojczyzny, odzyskali oni jej klimat rozkoszny, życie tanie, liczne godności i urzędy państwowe do których spełnienia zostali powołani. Zakupują też liczne posiadłości, budują piękne pałace, wille i domy, podnoszą rolnictwo i przemysł, gromadzą kapitały dotąd rozproszone za granicą i dają obfity zarobek masom biednych poprzednio mieszkańców.

Przyrost ludności, skupiając w sobie wszystkie inne żywioły postępu, jest najlepszą miarą poprawy dobrobytu kraju. Podczas wojen o niepodległość, ludność Grecji wynosiła 600.000 głów. Spis z r. 1838 dał cyfrę 738.000 mieszkańców na terytorjum 4,750.000 hektarów. W r. 1870, dzięki przyłączeniu Wysp jońskich, powierzchnia kraju wzrosła do 5,021 000 hektarów, a ludność do 1,457.894 mieszkańców. Obecnie wynosi ona 1,700.000, a licząc z Tesalią — przeszło 2,000.000. Tym sposobem, nie wyłączając przybytku ludności z Wysp jońskich 229.000 lecz nie licząc Tesalji, ogólna cyfra ludności Grecji w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu prawie się potroiła.

Działaldość ekonomiczna narodu szła równolegle z postępem zaludnienia. Co do rolnictwa, pozostaje wprawdzie wiele jeszcze do zrobienia, Z pięciu miljonów bowiem hektarów powierzchni, prawie połowa jest nieuprawna. Największą przeszkodę stanowią tu liczne skaliste góry, ogołocone z lasów i roślinności przez pasterzy. Pomimo to liczne usiłowania zadrzewienia gór, powoli wydają pomyślne rezultaty. Dotychczas własność drobna i średnia w Grecji przeważa, a kultura robi ciągłe postępy. Uprawa zbożowa od r. 1840 potroiła się, a wartość jej produkcji dochodzi obecnie 80 do 90 miljonów fr. Tytonie greckie są bardzo cenione, a wytwór ich przynosi 4 miljony fr. Produkcja oliwy, wynosząca w roku 1839 tylko 1 miljon ok, dochodzi teraz do 20 miljonów ok. Wytwór, wina, fig, morwy itp. wzrasta widocznie.

Przemysł fabryczny choć powolnie, również rozwija się ciągle. Przed laty dwudziestu w całej Grecji było zaledwie trzydzieści zakładów fabrycznych, posiadających machiny parowe; teraz jest przeszło trzysta, a roczna ich produkcja dochodzi do 250 miljonów. Kopalnie srebra, ołowiu, żelaza, manganu i inne zatrudniają przeszło 20 000 robotników.

Obok stopniowego ożywiania się przemysłu i rolnictwa, godnym uwagi jest mianowicie rozwój marynarki kupieckiej Grecji. W r. 1883 marynarka ta liczyła 1.912 okrętów dalekochodnych o 388.446 tonnach objętości i 6.697 statków przybrzeżnych. Obsługiwało ją 28 000 marynarzy. Grecja zajmuje jedenaste miejsce w rzędzie krajów morskich, a poprzedza w tym kierunku Austrję, Danję i Stany-Zjednoczone Ameryki południowej. Warsztaty okrętowe odpowiadają owemu rozwojowi mary-

narki. Wielkie zakłady tego rodzaju istnieją w portach Pireus, Syry, Galaxidi, Specji i Hydry. Same tylko warsztaty Syry dostarczają corocznie około 100 żaglowców o 600 tonnach. Większa część okrętów greckich i tureckich tu się buduje.

Handlowy ruch Grecji przedstawia niemniej świetne rezultaty. Podczas gdy w r. 1845 wywóz i przywóz razem wzięte dochodziły zaledwie 33 miljonów, w r. 1872 wynosiły one już 124, a w 1882 roku 242 miljony fr.

Proste zestawienie porównawcze cyfr powyższych okazuje, jak wielkie postępy ekonomiczne poczyniła Grecja. Ludność, jak widzieliśmy, potroiła się; rolnictwo, przemysł, handel, marynarka, uczyniły stosunkowo ogromne postępy, które byłyby bezprzykładne, gdyby Stany Zjednoczone Ameryki północnej już wpierw nie dowiodły, co może zdziałać lud przedsiębiorczy obdarzony wolnością. Co zaś w tej pracy wielkiej, w tych nieustannych wysiłkach uderza najbardziej, to że rozwijały się one z bardzo małym udziałem bezpośrednim rządu. Grecja wszystko niemal zawdzięcza dzielnej inicjatywie prywatnej inteligencji.

Równolegle z rozwojem materjalnym postępuje rozwój oświaty wyższej, średniej i ludowej. O ile uniwersytet ateński, akademja umiejętności, muzea i inne t. p. instytucje naukowe przeznaczone są do gromadzenia i przyswajania skarbów wiedzy wyższej, o tyle liczne szkoły średnie i początkowe szerzą coraz głębiej oświatę europejską wpośród klas miejskich i ludu wiejskiego.

Wychowanie średnie liczy obecnie 31 gimnazjów i 294 tak zw. szkół helleńskich. W pierwszych pobiera naukę 4.196 uczniów, w drugich 12.901.

Szkół początkowych publicznych Grecja posiada obecnie 1.033 męskich z 67.000 uczniów i 138 żeńskich z 12.000 uczennic. Istnieje prócz tego 165 szkół prywatnych męskich z 7.000 uczniów i 111 takichże szkółek żeńskich z 4 500 uczennic. Ogółem 1.447 szkół z 91.000 uczniów. Na każde 10.000 mieszkańców przypada zatem szkół 72. Każde dziecko do lat 12 musi uczęszczać do szkoły, jeżeli nie złoży wcześniej dowodu, że posiada wiadomości przepisane. Nauczanie początkowe jest obowiązujące.

Ze swobodnym rozwojem życia politycznego stopniowo rozwijać się zaczęła literatura nowogrecka, zwłaszcza perjodyczna. O pierwszej znajdzie czytelnik łatwo wiadomości choć skąpe w każdym podręczniku dziejów piśmiennictwa, dlatego się nad nią w tym szkicu rozwodzić nie będę. Wspomnę natomiast słów kilka o dziennikarstwie, którego działalności miałem sposobność przyjrzeć się nieco bliżej.

Dzienniki greckie, zwłaszcza polityczne, drukowane w kraju, do dziś dnia pod względem zewnętrznym typograficznym i jakości papieru zostawiają jeszcze wiele do życzenia. Na szczęście, treść ich niezwykle ruchliwa i ożywiona, jak temperament mieszkańców, wynagradza owe braki zewnętrzne.

Najświetniejszy tygodnik ilustrowany grecki „Hesperos“ nie ustępuje wprawdzie w niczem pod względem papieru, druku i przepychu drzeworytów, pierwszorzędnym ilustracjom europejskim, ale odbija się... w Lipsku, w drukarni orjentalnej Drugulina.

Głównem ogniskiem dziennikarstwa greckiego krajowego jest naturalnie stolica, Ateny. Tutaj wychodzą największe i najbardziej wpływowe organy głównych stronnictw politycznych, najlepsze czasopisma literackie i naukowe: Ephemeris, Nea Ephemeris, Aion, Helios, Foibos i mnóstwo innych. Liczną jest również prasa prowincjonalna i zagraniczna, t. j. kolonjalna grecka. Czasopisma: Danaos wychodzący w Argos, Anatole w Konstantynopolu, Syllogoi i Eiris w Bukareszcie, Nea Hemera w Trjeście, Kairon w Kairze i wiele innych nie ustępują w niczem organom stołecznym.

Łącznikiem między światem greckim współczesnym a resztą Europy są, jak zwykle, dzienniki miejscowe wydawane w języku francuskim, jak Messager d'Athénes i inne t. p.

Obok łącznika duchowego literatury i pracy, przybędzie wkrótce Grecji łącznik materjalny w wielkiej wagi budującej się linji kolei żelaznej serbsko-salonicko-ateńskiej. Zwiąże ona stolicę Hellady stałą komunikacją z Wiedniem, w ogóle z całą Europą, przyśpieszy nadzwyczaj wzajemną wymianę myśli i płodów ekonomicznych. Zbliży Grecję z resztą świata cywilizowanego, i ułatwi niezmiernie zwiedzanie tej uroczej krainy, do czego zachęcamy gorąco wszystkich, komu czas i możność na to pozwala.

Po zapłaceniu rachunku po wczesnym obiedzie w Hotelu Attyki (gdzie za ładny pokój na I piętrze, umeblowany z konfortem, policzono mi niedrogo po 6 franków na dobę czyli po 2 ruble) pośpieszyłem załatwić jeszcze małe sprawunki.

Przedewszystkiem w Agencji Lloyda austryjackiego, przy ulicy Hermesa, wziąłem w dalszą drogę bilet na parowiec „Danae“ odchodzący wieczorem wprost do Smirny.

Po drodze wstąpiłem obok do wielkiego składu fotografij i starożytności grecko-orjentalnych pp. Polichronopulosa et Comp. pod firmą „Minerva“ (przy ulicy Hermesa pod nr. 274). Z bogatej kolekcji widoków fotograficznych wybrałem najważniejsze, w kopjach nienaklejonych formatu albumowego. A mianowicie: widoki ogólne Aten od północy i od południa, Partenonu, Erechtejonu, Tezejonu, amfiteatru Dionizosa, Olimpiejonu fotografje płaskorzeźb słynnego fryzu partenońskiego, kopji współczesnej posągu Ateny akropolskiej, posągu Apollina (z Muzeum narodowego), oraz kilkanaście etnograficznych fotografji typów greków i greczynek, w ubiorach ludowych z różnych stron kraju. Skład „Minervy“ obficie zaopatrzony w okazy starożytności wszelkiego rodzaju, począwszy od numizmatów i medali, wyrobów z bronzu i żelaza, przeróżnej broni orjentalnej,

do rzeźb z marmuru, naczyń i statuetek z terrakoty, skamieniałości geologicznych i t. p. — wydaje katalogi ilustrowane, z których jeden otrzymałem w dodatku do moich zakupów.

Po przybyciu koleją do portu Pireu, wcześnie przed wieczorem, skorzystałem jeszcze z paru godzin wolnych, by zwiedzić tameczne Muzeum starożytności, niewielkie lecz bardzo interesujące. Kustosz profesor doktór Jakób Dragatsis udzielił mi najuprzejmiej swych bardzo cennych objaśnień w języku francuskim, przy oględzinach zabytków miejscowych.

O zmroku już, pożegnawszy czcigodnego profesora, pośpieszyłem z moim sakwojażem na pokład parowca „Danae", która wkrótce podniosła kotwicę i zwolna wyruszyła z portu na ciche morze, przy tęczowej grze światłocieni zachodu słońca za góry wysp Salaminy i Eginy, wśród odblasków złotej purpury i ciemnych fioletów.

Smirna i Azja mniejsza. *)

Na wschód Bosforu i Uralu, obok małej, ruchliwej i dzielnej Europy, zaległ olbrzymi szeroki płat lądu stałego Azji, oblany trzema oceanami: Północnym; Spokojnym i Indyjskim.

Od wyżyn Azji mniejszej aż do przymorskich wzgórz Mandżurji rozpostarło się na nim szerokie pasmo gór, przeszło tysiąc mil długie, wystrzelające w łańcuchu Himalai, najwyższemi znanemi szczytami.

Bliższa znajomość głębi Azji w starożytności postępowała bardzo powoli, olbrzymie bowiem przestrzenie zarówno wnętrza lądu azjatyckiego, jak i mórz go otaczających, czyniły dostęp do krain wschodnich prawie niepodobnym przy pierwotnych środkach komunikacji. Fenicjanie i grecy: Herodot (ur. 484 r. pd. Chr.) i Marko Polo (1260 — 1295) w swoim czasie wielce się przyczynili do zbadania bliższych i dalszych krain azjatyckich. I później, zarówno niezmierne bogactwa Azji, jak groza napadów mongolskich, coraz bardziej parły europejczyków do zawiązywania licznych i bezpośrednich stosunków z dalekiemi krainami Azji. Nareszcie odkrycie drogi morskiej do Indyj wschodnich przez genialnego Vasco de Gamę otwarło szeroki dostęp żeglarzom europejskim do najrozkoszniejszych, bujnych, złotodajnych wybrzeży dalekiego wschodu, i było dla Azji niemal tem, czem odkrycie Kolumba dla Ameryki.

Dziś Europa coraz bardziej zagarnia pod władzę swą rozległe obszary Azji. Większą jej połową północną zawładnęła Rosja, Indjami anglicy, Indochinami francuzi.

Dwie olbrzymie linje telegraficzne: północna z Petersburga do Chin i południowa z Konstantynopola do Indyj, niby dwa wielkie nerwy, przebiegają ląd azjatycki, tętniąc wymianą depesz handlowych i politycznych. Wiele stosunkowo jak na początek

*) Szkic niniejszy drukowany był w warszawskiej „Gazecie handlowej" z r. 1884 w nrze 286.

domorskich dróg żelaznych, zwłaszcza w Indjach i Azji mniejszej, ułatwia wywóz bogatych płodów surowych, a dwie olbrzymie koleje syberyjska i wschodnio-indyjska, połączą Azję z krzewicielką światła: Europą.

Bogata flora i fauna Azji, podobnie jak pierwociny jej prastarej cywilizacji, wzbogaciły, jak wiadomo, niemało kulturę europejską. Mnóstwo najpożyteczniejszych roślin i zwierząt gospodarskich zawdzięczamy Azji, która zarazem wydała twórców i założycieli głównych religij świata: Konfucjusza, Buddę, Zoroastra, Mojżesza i Jezusa Chrystusa. Nie przeszkadza to niektórym hordom azjatyckim oddawać cześć boską małpie, od której pochodzenia wstydzi się jeszcze dumny europejczyk W kierunku natomiast umysłowym i postępie wiedzy ludy Azji od prastarych czasów nie czynią niemal żadnych kroków naprzód, pogrążone w gnuśnej apatji i ciemnocie rządów teokratycznych.

Nie stanowi od tego wyjątku nawet Azja mniejsza, położona w najbliższem sąsiedztwie kultury europejskiej i ożywiana licznemi kolońjami greckiemi.

Azja mniejsza stanowiła od najdawniejszych czasów łącznik między Europą a Wschodem dalekim. Cieśniny bowiem Bosforu i Helespontu przedstawiały słaby tylko przedział, a liczne porty stron owych ułatwiały komunikację morską. Temi szlakami też ciągnęły zarówno karawany juczne bogatym towarem, jak i wielcy zdobywcy: Xerxes, Aleksander i Mahomet II.

Pod gnuśnem panowaniem turków, Azja mniejsza, ów ogród świata, nie może się ocknąć z orjentalnego letargu. Łagodność klimatu, łatwość wyżywienia, duch niewolniczy i wiara w fatalizm, pogrążają ludność tameczną, podobnie jak wszystkich azjatów, w bezczynnej apatji, pomimo że przyrodzone bogactwa przedstawiają niezmierny zasób dla rozwoju ekonomicznego i umysłowego. Rozwój ten podobnie tu jak w skwarnej Afryce, przeznaczono spełnić cywilizacyjnej misji Europy.

Zachodnie wybrzeża Azji mniejszej wskutek mnóstwa zatok, głęboko w ląd się wrzynających i całego wieńca wysp, posiadają wszelkie warunki dla ożywienia ruchu handlowego, czego dowodem świetny rozkwit dawnych kolonij greckich. Liczne jednak dawniej porty zachodnio-azjatyckie zostały po większej części zasypane piaskiem przez coroczne wylewy rzek, lub zamulone przez prąd północno-afrykański, biegnący od Nilu.

Jedna tylko Smirna zachowała dotąd swą dawną świetność, dzięki obszernej i wybornej przystani położonej w zatoce głęboko w ląd wsuniętej.

Zatoka Smirny, 54 kilometrów długa a 8 do 24 szeroka, pod względem malowniczości wybrzeży należy do najpiękniejszych Morza egiejskiego. Osłonięta ze wszystkich stron wyniosłemi górami, stanowi wyborne schronisko dla okrętów, których tu mnóstwo zawija codziennie. Góra Pagos z ruinami dawnej

cytadeli zdala panuje nad miastem, które zwrócone całą długością swą do przystani przedstawia się wspaniale.

Parowiec „Danae", na którym wyjechałem z Aten dnia 9 listopada 1882 r, przybył szczęśliwie do portu Smirny i zarzucił kotwicę wśród mnóstwa innych statków pod wieczór, przy silnym wietrze. Mimo to świetne wybrzeże przystani, wzdłuż którego przebiega podwójna lińja tramwajów, było ożywione bardzo i ruchliwe. Olbrzymie składy hurtowe naprawo i szereg wspaniałych hoteli oraz wielopiętrowych domów nalewo głównej komory morskiej, stanowią tu wielką dekorację europejską, która osłania ciasne i brudne dalsze dzielnice miasta: turecką, armeńską i żydowską, wznoszące się amfiteatralnie ku górze Pagos.

Zwolna ruch portowy ustawał, natomiast napełniały się licznemi gośćmi większe i mniejsze kawiarnie i sale koncertowe. Za nadejściem nocy zabrzmiała tu i owdzie muzyka orkiestrowa i rozpoczęły swe trele szansonistki, a liczne dorożki i karety kursować zaczęły z miasta i z powrotem zwożąc publikę żądną rozrywki i zabawy po całodziennych trudach i zyskownych obrotach.

Późno w noc dopiero ucichła cała ta wrzawa, głuszona zwolna jednostajnym szumem fal morskich, i sen rozpostarł czarne skrzydła nad miastem uśpionem.

Z brzaskiem dnia zaraz dały się słyszeć łagodne monotonne dzwonki karawan wielbłądów, których całe szeregi sunęły zwolna, przez wybrzeże portu, poważnie stąpając ku okrętom gotowym do przyjęcia ich wielkich ładunków.

Inne wielbłądy, stojąc lub leżąc w cieniu palm rozłożystych, przeżuwały strawę, w oczekiwaniu na nowe juki, wynoszone raźno przez tęgich tragarzy z okrętów i z magazynów.

Roje handlarzy owoców, robotników, niezajętych tragarzy, agentów i komisjonerów handlowych snuło się na wszystkie strony i nawoływało krzykliwie. Na uboczu jakiś szarlatan stojąc w otwartej karecie, wśród gromady gapiów i biedaków zachwalał krople amerykańskie, jako pewny środek przeciw bólowi zębów. Niewierni Tomasze kosztując ów tęgi eliksir, wykrzywiali twarze jak półtora nieszczęścia.

Wogóle cały ruch i życie nadaje Smirnie jej rozległy handel hurtowy, wywożący bogate płody surowe Azji mniejszej i zaopatrujący jej mieszkańców w wyroby przemysłu europejskiego.

Do portu Smirny przypływało i odpływało podówczas rocznie przeszło 800 parowców o 800000 ton i do 700 żaglowców o 90,000 ton objętości. Głównemi przedmiotami wywozu są: bawełna, oliwa, figi, rodzynki, pomarańcze, opjum, mastyks, konopie, siemie konopne, makowe, anyż, tytuń, różne rodzaje zboża i nasion, wełna, skóry, kości, wosk, miód, jedwab i kokony,

pijawki, gąbki, wreszcie szmergiel, kamienie szlifierskie i tak zwana pianka morska. Wiele z tych produktów idzie przez Odesę do Rosji i Polski. Przywożą natomiast do Smirny: wyroby bawełniane, sukna i inne wyroby wełniane, wyroby lniane, nowości modne, skóry wyprawne, meble, wyroby szklane i porcelanowe, chemikalje, towary kolonjalne, naftę, spirytualja, drzewo budowlane i meblowe, marmury i węgiel kamienny.

Cały ten handel znajduje się przeważnie w ręku greków, którzy na przeszło 150.000 ludności Smirny stanowią jej połowę oraz tak zwanych lewantynów.

Smirna jest, rzec można, głównem ogniskiem owej rasy greckiej, od której zawsze radzą się trzymać zdala każdemu kto tylko stanął nogą na Wschodzie. Grecy wogóle w krajach tureckich, wobec ociężałości i dumy tuziemców, znajdywali zawsze w Azji mniejszej od najdawniejszych czasów rozległe pole dla swej ruchliwej działalności handlowej, większe nawet niż w swym ubogim kraju rodzinnym.

Tak zwani lewantyńcy, osiedli na całym Wschodzie, stanowią tu jakby rodzaj tamecznych kreolów. Jest to ludność wytworzona z osiedleńców różnych krain europejskich, przez małżeństwa mięszane z orjentalkami, przeważnie greczynkami i armenkami. Lewantyńcy odznaczają się wielką bystrością umysłu, i władają zwykle od dzieciństwa biegle wieloma językami. Brak im jednak wyższego wykształcenia, a zwłaszcza ustalonych zasad etycznych, co im bynajmniej nie przeszkadza być wielkimi bigotami katolickimi. Są wogóle próżni, wyniośli, samolubni. Nazywają się z upodobaniem europejczykami, choć ze względu na swój charakter rasowy, obyczaje, wyobrażenia i przesądy są czystymi orjentalami. W stosunkach towarzyskich starają się zjednać sobie wszystkich, z których znajomości spodziewają się znacznej korzyści; natomiast są nadęci i srodzy względem swych podwładnych. Pomimo wielkiego braku wykształcenia, w zarozumiałości swej uważają się za uzdolnionych do zajmowania największych stanowisk. Żaden środek dla nich nie jest złym, gdy prowadzi do osiągnięcia zamierzonego celu i nasycenia ambitnego ich egoizmu. Kobiety lewantynki są zazwyczaj wielkie bigotki, próżne, gnuśne i strojnisie, lecz bardzo przywiązane do swych dzieci. W Europie czują się one w nieswoim żywiole, i uważają Smirnę lub Konstantynopol za prawdziwy raj ziemski. Naturalnie i między lewantynami znajdują się lepsze wyjątki, które jednak nie zmieniają w niczem powyższych ogólnych rysów charakterystycznych.

O ile z Europy turcy stopniowo coraz więcej są wypierani i emigrują stamtąd całemi masami, zwłaszcza z Bółgarji po ostatniej wojnie rusko-tureckiej 1878 r., o tyle w Azji mniejszej czują się oni u siebie w domu i panami. Tureckie przysłowie mówi: „Piękność przypadła czerkieskom, bogactwo i handel grekom, wiedza europejczykom, a panowanie osmanom". Stąd

narodowa duma turków stanowi niemal artykuł ich wiary, a fanatyzm przeciw niewiernym utrzymuje się w prowincjach ottomańskich Azji bardzo silnie, jak tego dowodzą częste rozruchy i wrogie usposobienie przeciw europejczykom tamecznych mahometan. Dla tego prawowierne obyczaje i jaskrawa charakterystyka życia mahometańskiego turków najwybitniej przechowały się w grodach i wioskach azjatyckich.

Islam wogóle nie zna owych ścisłych przedziałów klas społecznych, jakie napotyka się w tak wysokim stopniu w Europie. Szlachty dziedzicznej u turków niema wcale. Nie znają oni nawet użycia nazwisk familijnych, bez czego niemożebną jest arystokracja rodowa. W krajach tureckich napotykamy tylko arystokrację urzędniczą, której naturalnie brak wszelkiej ciągłości dziejowej. Nazwiska rodowe niektórych dynastyj sułtańskich i książąt niezawisłych stanowią nieliczny wyjątek. Turcy zwykle noszą jedno tylko imię, mające znaczenie religijne, i odpowiadające naszym imionom chrzestnym.

Pod względem religijnym turcy są bardziej fanatyczni jak arabowie, i przestrzegają przepisy Koranu z wielką ścisłością i formalizmem. Nieraz np. zdarza się widzieć jak prawowierni ci wyznawcy Proroka w drodze, w sklepach, a nawet w biurach urzędowych, nie zważając na otoczenie rozkładają dywan, i z twarzą zwróconą ku Mekce, odmawiają swoje modlitwy.

Jakkolwiek Koran wyznawcom swym dozwala mieć do czterech żon prawych, mimo to wśród turków przeważnie spotyka się jednożeństwo. Powodem tego są główne wielkie koszty wielożeństwa, wymagającego obszerniejszych pomieszkań, liczniejszej służby i t. d.

Turcy mianowicie w Azji mniejszej żenią się bardzo wcześnie. Zwykle w 17 lub 18 roku życia młody muzułmanin bierze sobie żonę lub kupuje niewolnicę, która po pierwszem dziecku staje się jego prawą małżonką. Umowy ślubne dokonywają przed duchownym imanem. Uroczystości weselne trwają zwykle trzy dni, przyczem goście męzcy podejmowani są w domu pana młodego, a żeńscy u panny młodej. Stanowisko kobiet tureckich wogóle jest podrzędne, stanowią one bowiem u mahometan jedynie przedmiot zadowolenia fizycznego. Mylonoby się jednak, sądząc że kobiety tureckie żyją ciągle zamknięte jak w więzieniu. Wprawdzie na ulicy i w miejscach publicznych mało ich widzieć można zwłaszcza z klas bogatszych, ale w domu są one całkiem swobodne, i niejeden małżonek często znosić musi liczne i dziwaczne ich kaprysy. W domach zaś dygnitarzy intrygi i wpływy haremowe sięgają często nazewnątrz domowego ogniska, i oddziaływają często na obsady urzędów, a nawet na politykę.

W ciągu dnia kobiety tureckie, mianowicie zamożniejsze, pogrążone są w gnuśnem próżnowaniu, przerywanem użyciem kawy, tytoniu i słodyczy, wreszcie spacerem w karecie lub

łodzi w towarzystwie przyjaciółek i niewolnic, przyczem wstępują do łaźni i czynią zakupy w bazarach i sklepach. Był czas gdy panie owe przy tem tak sobie pozwalały, że kupcom zakazano trzymać młodych subiektów.

Niewolnictwo, chociaż w państwie ottomańskiem od r. 1855 prawnie zniesione, faktycznie jednak choć w formach znacznie złagodzonych istnieje, zwłaszcza w Azji mniejszej. Wprawdzie publiczne targi niewolników zostały zamknięte, mimo to corocznie sprzedaje się tam mnóstwo niewolników i niewolnic, zarówno białych jak czarnych. Niewolnicy u turków traktowani są wogóle dobrze i należą niejako do rodziny, a dzieci ich odbierają często wykształcenie narówni z dziećmi pana. Niewolnicy usamowolnieni dosięgają nieraz najwyższych dostojeństw rządowych.

Mieszkania tureckie w stosunku do europejskich są umeblowane bardzo niedostatecznie, i licho zabezpieczone od chłodów zimowych. Potrawy dotąd, nawet w zamożnych domach tureckich spożywają bez noży i widelców. Podczas uczty biesiadniczej mówią mało i nawet na zadawane pytania nie odpowiadają. Jedzą prędko, tak iż w ciągu pół godziny służba przynosi i zabiera dań 10 do 12.

Kawa czarna i palenie tytoniu zabiera turkom zawsze wiele czasu. Obejść się bez nich nie mogą nawet przy najważniejszych czynnościach urzędowych i posiedzeniach rad gabinetowych. To też posługacze fajkowi (czibukczi) często przejmują i drogo sprzedają tureckie tajemnice stanu. Nargil jest w powszechnem użyciu nawet u najbiedniejszych, a we wszystkich większych i mniejszych kawiarniach i zakładach publicznych podawany jest przy kawie za małą dopłatą.

Jakkolwiek nadmiar spożycia kawy czarnej i tytoniu silnie denerwuje zniewieściałych mieszkańców Wschodu, więcej jednak przyczynia się do tego nadużycie opjum, które na nieprzyzwyczajonego zwłaszcza podróżnika działa bardzo silnie, sprawiając często dotkliwy ból głowy.

Po wygodnym noclegu w „Holelu egipskim“ („Grand Hotel d'Egypte“) położonym przy szerokim bulwarze portu, w pięknym gmachu dwupiętrowym z białego marmuru, wybrałem się zaraz po śniadaniu w miejscowej restauracji, do głównego bazaru tureckiego w śródmieściu Obok przebogatych wyrobów orjentalnych, godne uwagi przedewszystkiem były tam wielkie składy słynnych dywanów smirneńskich w gatunkach wyborowych z czystej wełny. Odznacza je wielka trwałość i jaskrawa barwność deseni fantastycznych. Nie chcąc mego ręcznego kuferka obciążać zbytecznie kupiłem tylko nieduży dywanik przed łóżko pod nogi.

Wracając do hotelu przed obiadem wstąpiłem po drodze do Muzeum smirneńskiego założonego przy Szkole ewangelic-

kiej, gdzie dyrektor bogatej bibljoteki orjentalnej i zarazem kustosz p. Aleksander Kontoleon oprowadzał mię długo i udzielał łaskawie swych cennych objaśnień.

Przy tak zwanej ulicy Franków w Pasażu Hadżi-Cyro pod nr. 122, w wielkim składzie fotograficznym francuskim Rubellin'a, nabyłem kilkanaście kopij nienaklejonych formatu albumowego różnych widoków miejscowych. A mianowicie: widoki portu Smirny od strony północy i południa, widok ogólny miasta ze starą cytadelą genueńską na górze Pagos, t. zw. mostu karawan, wyborne zdjęcia objuczania wielbłądów i karawany w drodze przez pustynię arabską, widok wielkiego cmentarza mahometańskiego ocienionego całym gajem starych cyprysów i wiele innych.

Po zwiedzeniu dworca głównej stacji kolei żelaznej smirneńskiej, podczas wycieczki pieszej w dalszą okolicę, dostrzegłem zdaleka groźną bójkę turków uzbrojonych kindżałami z grekami, szukającymi obrony w swoich rewolwerach. Szybkie przybycie silnego oddziału żandarmerji zapobiegło narazie dalszemu krwi rozlewowi.

Wskutek nowin nadchodzących z placu boju z Egiptu o stłumieniu mahometańskiego powstania Arabiego-paszy przez anglików, usposobienie ludności tureckiej w Azji mniejszej stało się względem europejczyków bardzo nieprzyjazne i wrogie — czego miałem właśnie próbę zaraz na pierwszym kroku w dalszą okolicę.

Wobec starć tego rodzaju, nie chcąc nadstawiać gardła pod noże tureckie, skorzystałem z odjazdu świeżo przybyłego parowca austrjackiego „Diana" z portu Smirny, i wieczorem 11 listopada 1882 r. wyruszyłem w dalszą drogę do Aleksandrji zbombardowanej przez anglików ze szczętem.

Po ukończeniu ładowania kilkuset wielkich koszów winogron tureckich na przednim pokładzie „Diany", i po zabraniu jeszcze kilku spóźnionych pasażerów, kapitan przed zmrokiem kazał podnieść kotwicę i ruszyć naprzód!

Zawarczała mała machina parowa i walec łańcuchowy, lecz wskutek zaczepienia kotwicy o jakąś przeszkodę na dnie morskiem, wyciąganie jej szło bardzo oporem. Dopiero po półgodzinnych manewrach parowca wtył i naprzód, udało się wyciągnąć ciężką kotwicę i wypłynąć z portu.

Pogoda była ciągle piękna, ciepła. Morze w zatoce spokojne pomiędzy górzystemi brzegami zatoki smirneńskiej. Dopiero na pełnem morzu wiatr zaczął wydymać kilka żagli średnich, które kapitan kazał rozpiąć szeroko.

Po kolacji wieczornej na parowcu zwolna wszystko ucichło i sen zapanował.

Nocleg zamówiłem sobie w kajucie sternika i jego zastępcy, którzy zmieniali się kolejno do pracy. Kajutę sąsiednią II-ej

klasy zajmował młody włoch konduktor kolejowy, który wracał do Egiptu z żoną murzynką i małym synkiem półczarnym, którego zawiózł przedstawić wraz z matką rodzicom swoim mieszkającym w Smirnie. Stadło owo bardzo się lubiło, a młody małżonek wielce był zadowolony bawiąc swojego malca nieustannie.

Nazajutrz rano, po pierwszem śniadaniu, rozeszła się wpośród podróżnych nowina, że jedna pasażerka uboga greczynka powiła w nocy niespodziewanie nowonarodzoną córeczkę. Towarzyszki podróży, zwłaszcza bogate panie z kajut I i II klasy, pośpieszyły zaraz z wyprawką dla małej pasażerki, wykrojoną naprędce z bielizny damskiej. Młodą matkę uczęstowano posilnem śniadaniem i zaopiekowano się nią bardzo gorliwie.

Wpośród mężczyzn natomiast, a zwłaszcza załogi parowca, ogólne zajęcie budziła młodziutka piętnastoletnia murzynka wyjątkowo ładna. W koszuli tylko długiej czerwonej bez rękawów, rozciętej głęboko na piersiach, z wargami pąsowemi i ogniem w oczach, ta młoda djablica biegała ciągle jak szalona, sprzedając papierosy własnej roboty. Oficerowie załogi wciągali ją gwałtem do swoich kajut, z których wyrywała się z krzykiem i śmiechem....

Pogoda słoneczna gorąca w ciągu całego dnia była przepiękna. Niebo szafirowe bez jednej chmurki. Lekki wiatr szumiał po wyprężonych linach i masztach parowca. Wokoło bezbrzeżny przestwór pełnego morza falował miarowo białą jak śnieg pianą na tle ciemnej zieleni wód.

Po obfitym obiedzie z wybornem winem cypryjskiem, wygrzewałem się na słońcu, rozkosznie leżąc na miękkich tobołach z dywanami smirneńskiemi, ułożonych stosami po lewej stronie pokładu przedniego. Po prawej natomiast ustawiono gęsto kilkaset wielkich koszów plecionych z winogronami. Kosze zwierzchu obszyte były grubem płótnem, niestety niezbyt dokładnie po brzegach. Na pokładzie pod ową porę poobiednią nie było prawie nikogo, wszyscy oddawali się sjeście przy czarnej kawie i nargilach. Korzystał z tego jakiś młody szubrawiec i wyciągał przez szpary całe winogrona objadając się do syta. Nawoływał też do tej roboty paru chłopców greków, wiozących z sobą spory ładunek gąbek i pantofli do sprzedaży roznośnej. Chłopcy nie dali się skusić do kradzieży. Mówili mi potem pocichu, że ów rzezimieszek byłby ich zaskarżył przed kapitanem, że to oni wyciągają z koszów winogrona, aby siebie w ten sposób osłonić. Ów szubrawiec zaczął niby żartem chłopaków boksować i mocować się z nimi na próbę siły. Te igraszki skończyły się na tem, że jednemu z chłopców zginął z kieszeni duży scyzoryk, który niewątpliwie wyciągnął zręcznie rzezimieszek, wkrótce bowiem ukrył się pod pokładem między gromady pasażerów. Chłopcy byli kontenci, że im nie wyciągnął pieniędzy, które mieli ukryte dobrze na piersiach.

Przed wieczorem ostatnim kapitan nakazał kontrolę biletów pasażerskich. Szereg marynarzy z oficerem naczele, po rewizji w kajutach i pod pokładem, rozpoczął przegląd licznych pasażerów na pokładzie, poczynając od tyłu parowca ku przodowi. Gdy rewidenci dochodzili już do końca pokładu przedniego, kilku szubrawców skryło się do pobliskiej budki kawiarza okrętowego. Kontroler zajrzał tam przez drzwi uchylone, a kawiarz mrugnąwszy pokazał rękę podniesioną z pięcioma palcami wgórę — co znaczyło, że jest pięciu jadących bez biletów, i że on załatwi za nich rachunek z kontrolerem, który oddalił się potem najspokojniej. Widocznie tak zwana „jazda na gapę“ praktykuje się nietylko koleją, lecz i na okrętach....

Wkrótce potem zapadła noc gwieździsta, cicha, i przeszła spokojnie jak poprzednia. Przed świtem ujrzeliśmy w stronie południowej wśród ciemności czarnej wielkie światło błyszczące na wysokiej latarni morskiej portu Aleksandrji.

Kanał Sueski i Egipt.)*

Wśród olbrzymich przekształceń i faktów dziejowych, jakie przedstawia wiek XIX-ty, jednem z najwspanialszych dzieł cywilizacji współczesnej i geńjuszu Lessepsa, jest bez zaprzeczenia Kanał sueski, potężna arterja komunikacji wszechświatowego znaczenia, którą płyną prądy wymiany płodów i wyrobów wszystkich części świata, a głównie Indyj i Wschodu dalekiego.

Dzieło Ferdynanda Lessepsa, ze względu na swe znaczenie międzynarodowe, przedstawia ścisły związek i wielką analogję dziejową z niemniej płodnem w następstwie odkryciem Vasco de Gamy drogi morskiej do Indyj wschodnich naokoło Afryki.

W starożytności i wiekach średnich, jak wiadomo, ludy Wschodu dostarczały karawanami płodów i wyrobów bogatych Indyj i Chin grekom, ormjanom, a następnie wenecjanom i genueńczykom, od których je znów inne większe ogniska handlowe Europy nabywały. Główne prądy i trakty handlowe szły podówczas przeważnie lądem ze wschodu na zachód. Dopiero w r. 1498 Vasco de Gama płynąc do Przylądka Dobrej Nadziei wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki na Ocean indyjski, zawinął do przystani Kalikutskiej, i odkrył drogę morską do Indyj.

Odkrycie drogi morskiej naokoło Afryki, stanowiące wraz z odkryciem Ameryki w r. 1492 epokę w dziejach ludzkości, było zarazem śmiertelnym ciosem dla monopolu handlowego i wyłącznej świetności Wenecji i Genui. Odtąd głównem ogniskiem handlu wszechświatowego stała się Lizbona. Skarby jednak zamorskie i bogactwa szybko nagromadzone, zrodziły z czasem w narodzie portugalskim ospałość, i podkopały pomyślność jego krajową, która tem niżej upadła, że stan miejski, jej główny przedstawiciel w walce z przemożną władzą królewską,

*) Szkic niniejszy drukowany był w warszawskim tygodniku „Wędrowiec“ w nr. 16, 17 i 18 r. 1887.

utracił swe swobody. Portugalczykom w zdobywaniu licznych ziem i kolonij w Afryce i na Wschodzie, rozszerzanie religji chrześciańskiej, podobnie jak hiszpanom w Ameryce, służyło za płaszczyk żądzy gromadzenia bogactw, które za sobą pociągały wyuzdany zbytek, zniewieściałość, a ucisk jakiego się na pokonanych ludach dopuszczali zbliżył chwilę ich upadku.

Stanowisko Portugalji i Hiszpanji w handlu wszechświatowym zajęła stopniowo dzielna żeglarska Anglja. Zniszczenie floty hiszpańskiej tak zwanej „niezwyciężonej Armady" w r. 1598 nadało stanowczą przewagę Anglji. Admirał Howard zwycięzca Armady i Drake, słynny ze swej żeglugi naokoło świata, wskazywali żywioły, na których ojczyzna ich miała zbudować przyszłą swą sławę i potęgę: przemysł, handel i żeglugę zamorską. Anglja po zwycięstwie tem doszła do świadomości swej potęgi na morzu, a zawiązana wielka Kompanja wschodnio-indyjska i pozyskanie Wirginji dały początek kolonizacji angielskiej i otwarły dla Albionu źródła niezmiernych bogactw, kosztem wolności licznych krain i ludów, wyzyskiwanych bezlitośnie przez chciwych anglo-sasów.

W naszem dopiero stuleciu wiekopomne dzieło genjuszu inżynierji morskiej francuskiej — Kanał suezki, przez przekopanie międzymorza łączącego Azję z Afryką i bezpośrednie połączenie Morza śródziemnego z Oceanem indyjskim, skróciwszy znakomicie drogę morską do Indyj i na Wschód daleki, wywołało nowy olbrzymi zwrot w stosunkach handlu międzynarodowego.

Anglja, dzierżąca dotąd berło mórz i oceanów, ogniskująca w Londynie główne prądy wymiany wszechświatowej, patrzy z obawą na nieunikniony upadek naczelnego dotąd stanowiska swego w tej dziedzinie. Widzi, jak wobec nowej głównej drogi na Wschód przez kanał suezki, została na uboczu. Natomiast państwa śródziemnomorskie: Francja, Hiszpanja, Włochy, Grecja, Rosja i t. d., zaczynają nanowo krzątać się około odzyskania potęgi morskiej i dawnej przewagi w handlu orjentalnym. Znaczenie Londynu jako wielkiego ogniska wymiany dwóch półkul, w którem jak promienie zbiegały się dotąt główne linje morskie handlu zaoceanowego, zwolna stopniowo słabnąć musi, podobnie jak niegdyś znaczenie Wenecji i Genui. Porty śródziemnomorskie położone teraz korzystniej przy wielkiej drodze morskiej, wzrastając z czasem zajmą stanowisko obecnej metropolji handlu świata.

Nagłe i niespodziane zbombardowanie przez anglików i zajęcie rozkwitającej szybko w ostatnich czasach Aleksandrji rodzi przypuszczenie, że Londyn i brytańczycy wogóle, być może, przeczuwali w niej przyszłą rywalkę swej potęgi handlowej, i albo chcieli ją zniszczyć i podkopać do szczętu, albo się sami jeszcze w niej usadowią i założą tam nową wielką faktorję handlu transportowego, zawładnąwszy jednocześnie Kana-

łem suezkim i Port-Saidem. W tym kierunku Anglja postępuje z bezprzykładną bezceremońjalnością.

Podczas wyprawy angielskiej nad Nil, urzędowe dzienniki Londynu głosiły, że „rząd angielski uważa kwestję Kanału suezkiego jako sprawę własnej obrony Anglji“. Słowa te są żywym głosem opinji publicznej całego narodu, który wobec przewrotów i zamieszek w Egipcie widzi ze drżeniem zagrożoną swoją świetną potęgę i byt przyszły. Gibraltar i Aden bez Suezu na nic się Anglji nie zdadzą.

Wobec groźnej i chciwej panowania postawy Anglji, inne narody europejskie nie mogą zostawać obojętne. Dlatego Francja rozwija tak forsownie swoją politykę kolońjalną w Tunisie, na Madagaskarze, a zwłaszcza w Tonkinie, gdzie po licznych walkach i owładnięciu Anamu, zawarła z Chinami korzystny traktat handlowy. Tym sposobem Francja w Indochinach staje na drodze do Indyj wschodnich do silnego współzawodnictwa z żeglugą i handlem angielskim, i krzyżuje sieci monopolu wielkobrytyjskiego w zamorskim handlu świata.

. . . .

Noc była jeszcze czarna, gdy po ostatnich bitwach, w których armja egipska została rozproszona, płynąłem ze Smirny do brzegów Afryki, na wielkim parowcu pocztowym „Diana“.

W dali widniała już latarnia morska Aleksandrji.

Tu i owdzie drobne światła wskazywały statki sunące w pomroce na morze otwarte.

Na wschodnim krańcu widnokręgu blada jasność zwolna wznosiła się na stropy niebios.

Gwiazdy stopniowo niknęły.

Małe, przezrocze chmurki, ozłocone pierwszemi odblaskami jutrzenki, płynęły cicho po różowem przestworzu.

Coraz szersze smugi i snopy jasności zwiastowały zbliżanie się rydwanu władcy niebios, aż wreszcie złocista kulica słońca w pełni blasku wypłynęła majestatycznie po nad szmaragdowe fale morskie.

Wąska, szara smuga na widnokręgu południowym zarysowała wybrzeża egipskie. Są one tutaj płaskie i zdala ledwo widzialne, tak iż przy zbliżaniu się okrętu musi na maszcie przednim wartować majtek, aby ląd dojrzeć zawczasu.

Liczne parowce i żaglowce, których drogi w jednym zbiegały się punkcie, wskazywały bliskość Aleksandrji.

Wkrótce też ukazały się kopuły pałacu Ras-et-Tin i inne gmachy nadbrzeżne, obok lasu masztów, wystrzelających grupami w tak zwanym Starym porcie zachodnim.

Wśród szumu fal, przewalających się śnieżną pianą po piasczystych ławach przylądka latarni morskiej, parowiec nasz minął olbrzymie pancerniki wielkich mocarstw europejskich, i za tamą kamienną, naprzeciw komory celnej zarzucił kotwicę.

Kilkudziesięciu białych, brunatnych i czarnych przewoźników wpadło na pokład, zdwajając ścisk i wrzawę wylądowania.

Mały murzyn w pąsowym fezie, szczerząc białe zęby i wykrzywiając się przyjemnie (co miało oznaczać uśmiech), przemawiał i gestykulował przedemną dopóty, aż mu oddałem kuferek, z którym jak pantera zbiegł po schodach do wyłożonej jaskrawym dywanem łodzi i lotem strzały podwiózł mię do wybrzeża komory.

Po bardzo ścisłej rewizji ze strony celników angielskich, węszących broń i proch dla powstańców, wydostałem się przez tłumy podróżnych na plac za komorą, gdzie nie czekając na moje skinienie, podjechała najbliższa dorożka, zaprzężona w parę pysznych karych arabczyków, które uchodziłyby u nas za perły cugowe w karecie największych bogaczy. Jednocześnie z drugiej strony poskoczył smukły arab w fezie, białej długiej do ziemi koszuli i czarnym na niej tużurku, Ibrahim Rizg, z adresem „Hotelu Bambini", chwycił kuferek i wskoczył na kozioł. Konie ruszyły ognistym kłusem. Minąwszy parę ulic nadbrzeżnych, nagle znalazłem się wśród strasznych świeżych ruin.

Tu i owdzie sterczały skielety pięciopiętrowych kamienic, z rozwalonemi aż do dołu frontami. Szmaty świetnych obić szeleściały od wiatru. Stosy gruzów, podmiecionych starannie na chodniki, zostawiały wąskie tylko miejsca na przejazd. Na wielkim placu Mahmed Alego, długi szereg baraków drewnianych zastępował tymczasowo zawalone gruzem świetne dawniej sklepy, kawiarnie i restauracje.

Z kilkunastu hoteli ostało się parę zaledwie; to też zdzierano w nich niesłychanie. Za pokoik na drugiem piętrze, wprawdzie umeblowany z konfortem, trzeba było płacić 4 ruble dziennie. Za obiad, złożony: z talerza rosołu, gołębia pieczonego z sałatą, pół butelki wina, kawałka sera, trochy bananów i filiżanki kawy czarnej — 5 rubli. Szklanka piwa pół rubla.

Mieszkańcy Aleksandrji ocaleli z grabieży arabskiej i ruiny bombardowania, chcieli widocznie od jednego zamachu porobić majątki wśród ogólnego braku konkurencji.

Przed gmachem trybunału wojennego gwardziści angielscy w paradnych mundurach straż trzymali.

Na placu kolumny Pompejusza wiatr świstał ponuro po belkach wielkiej szubienicy.

Wokół ruiny i ruiny...

Z wielkiego miasta, pełnego ruchu i życia, stosy gruzu.

Za to wiecznie zielone ogrody letnich pałaców kedywa i baszów egipskich wzdłuż odnogi Nilu, t. zw. kanału Mahmudje, jaśniały całym blaskiem flory afrykańskiej, a u wierzchołków palm kołysały się zwieszone złociste kiście daktyli. W ogrodach kedywa i Moharrem-beya służba pałacowa, otrzymując „bakszysz", na odchodnem ofiarowała mi kilka świetnych bukietów, ułożonych na prędce z pysznych, nieznanych kwiatów

zwrotnikowych. Złożyłem je tegoż wieczora na ołtarzu sztuki, na scenie teatru Rossini'ego, gdzie włoskie śpiewaczki pocieszały słowiczemi trelami smutnych aleksandrjan.

Wskutek silnych upałów, nawet w miesiącach zimowych, największy ruch w mieście rozpoczyna się dopiero wieczorem i trwa do późnej nocy. Zwłaszcza wesołe przybytki Bachusa pełne były wszędzie rycerzy Albionu, pobrzękujących dumnie zwycięskiemi szablami.

Wąskie, ciemne, kręte ulice dzielnic arabskich roiły się tłumami, pragnącemi odetchnąć łagodnem powietrzem nocy po skwarze całodziennym.

Kobiety arabskie gwarzyły na progach domostw, dzieci igrały przed niemi. Mężczyźni zapełniali kawiarnie, wśród upajających kłębów dymu z nargilów o krótkich cybuszkach trzcinowych, z haszyszem.

Dragoman mój Ibrahim Rizg, chcąc mi zjednać uprzejme przyjęcie gospodarzy, zapewniał wszędzie, żem nie anglik. Słowa te rozjaśniały zaraz oblicza arabów. Dopytywali mi się ciekawie o prawdopodobny los Arabi'ego baszy, uwięzionego w Kairze. Pocieszałem ich, że anglicy postąpią wspaniałomyślnie z ich bohaterem, dla którego pochwały z mej strony wywoływały najżywsze zadowolenie obecnych.

Aleksandrja, czyli Iskanderje po arabsku, druga stolica Egiptu, zajmuje, jak wiadomo, piasczysty pas ziemi pomiędzy morzem a jeziorem Mariut. Przed wojną ostatnią ludność jej dochodziła do 200 000, z których czwartą część stanowili różni cudzoziemcy, przeważnie włosi i francuzi. Ostatnie wypadki rozproszyły ich część większą, zwolna jednak zbiegowie wracają.

Miasto od strony morza otoczone jest fortami i murem, po części tym samym prawdopodobnie, który wznieśli arabowie po zburzeniu starej Aleksandrji. Port osłaniają forty Napoleona i latarni morskiej Pharos, oraz kilka bateryj nadbrzeżnych, stanowiących słabą obronę wobec potężnych pancerników i olbrzymich dział morskich najnowszej konstrukcji.

To też Aleksandrja nie jest wcale wielkim punktem strategicznym, natomiast jest głównem ogniskiem handlowem Egiptu. Jej wywóz w ostatnich czasach dochodził do półtora miljarda, a przywóz około pół miljarda piastrów. Główny przedmiot wywozu stanowią bawełna, zboże i cukier trzcinowy.

Liczna flota Nilu, cała sieć kolei żelaznych Delty z wielką linją aż do Siutu i mnóstwo karawan, ciągnących z kraju całego dostarczają handlowi aleksandryjskiemu olbrzymie masy towaru na eksport.

Klimat Aleksandrji wogóle zdrowy, a upały łagodzi bliskość morza i wód wielkiego jeziora sąsiedniego.

Liczne meczety, wielka rozmaitość ubiorów wschodnich i europejskich, rozległe ogrody z roślinnością palmową, nadają

Aleksandrji charakter malowniczy i wielce oryginalny. Styl budowli miejskich międzynarodowy, ulice po większej części niebrukowane.

Trzy linje kolei prowadzą stąd do Ramleh, Mariutu i do Kairu.

Nie dumając zbyt długo na ruinach Aleksandrji, po zapłaceniu słonego rachunku hotelowego pani Bambini, ruszyłem wczesnym rankiem koleją kairską do Izmalji, siedziby głównego zarządu Kanału suezkiego.

Koleje żelazne egipskie, z powodu strasznego gorąca nawet zimą i nieustannej kurzawy, nie są zbyt miłym środkiem komunikacji. Pokrywanie aksamitem lub suknem siedzeń klasy I i II jest tam niemożebnem; materjały owe zastępuje rodzaj ceraty, okurzanej na każdej większej stacji włosianemi miotłami. Wagony klasy trzeciej zakryte są tylko lekkim daszkiem od słońca; korzysta z nich głównie ludność miejscowa miast i fellahy.

Lud to rosły, smukły jak palmy, silny i pracowity niesłychanie. Podczas największego skwaru południowego robota w polach idzie bez przerwy. Wśród sieci małych i wielkich kanałów ruch tu nieustanny, pompy mechaniczne i wiadra ręczne w ciągłem użyciu. Wegetacja bujna i żniwo cztery razy do roku wynagradza obficie te nakłady.

Odzież wieśniaków, wogóle bardzo sympatycznych, choć zgnębionych pracą i wyzyskiem marnotrawnych rządów, odznacza się wielką czystością; białe jej części świecą śnieżnym blaskiem. Długie brody i duże turbany dodają wiele powagi pięknym typom arabskim. Kobiety, mniej urodne, błyskają powłóczystem spojrzeniem wielkich czarnych oczu.

Na każdej stacji pociąg oblega cały tłum półnagich dziewcząt i dzieci ze dzbankami na głowach i okrzykiem: „el maje!" (woda), przyczem podają w koszach daktyle, pomarańcze i młodą trzcinę cukrową. Chłopcy i tragarze wskakują do wagonów jeszcze przed zatrzymaniem pociągu, porywając bez pytania kuferki podróżnych, tak że trzeba je wyrywać, jeśli się nie wysiada. Wśród całej tej krzykliwej zgrai, flegmatyczni żandarmi angielscy utrzymują względny porządek długiemi szpicrutami.

Przed dworcami kolei publiczność arabska, oczekując na pociąg, siedzi na dywanach i matach rozłożonych na ziemi, paląc fajki i zapijając z maszynek kawę własnej roboty.

Pod palmami, w cieniu murów przyległych odpoczywają wielbłądy karawan przybyłych z ładunkiem.

Minąwszy ufortyfikowany przez powstańców okopami ziemnemi Kafr-el-Dauar i Damanhur, pociąg po wielkim moście żelaznym pod Kafr-ez-Zaiat przebywa główne koryto Nilu, t. j. ramię Rozetty; pod Benha-el-Asl ramię Damietty, a wreszcie za krwawem pobojowiskiem Tel-el-Kebiru linja kolei biegnie wielką pustynią arabską. Koła wagonów skrzypiąc, mielą piasek na

drobny pył, który na szczęście nasze wiatr odnosi na bok. Duszno tu i parno. Naprawo i nalewo, jak okiem zasięgnął, płaska pustynia. Nigdzie źdźbła zieloności. Wszędzie piasek, piasek i piasek.

Pociąg pędzi, by odzyskać minuty spóźnienia, gwizd lokomotywy ginie w przestrzeniach niezmierzonych.

Na stacji Nefisze mijamy odgałęzienie kolei do Suezu. Nareszcie na żółtym widnokręgu pustyni ukazuje się szafirowe zwierciadło wód jeziora Timsah i za chwilę stajemy wśród bujnych wonnych ogrodów Izmailji.

Po przybyciu na dworzec izmailski, złożyłem rzeczy moje w pobliskim „Hotelu paryskim", a że jeszcze dość wcześnie było przed wieczorem, wyszedłem przyjrzeć się miastu.

Izmailja jest czystem, białem, uśmiechniętem miasteczkiem nowoczesnem. Zbudowana wśród nagiej pustyni, w regularną szachownicę ulic, krzyżujących się pod kątem prostym, tuli się pod cieniem palm pomiędzy jeziorem Timsah i kanałem wód słodkich Nilu.

Osada owa, licząca kilka tysięcy mieszkańców, powstanie swe zawdzięcza budowie Kanału suezkiego, której była głównem ogniskiem, a dotąd jest również siedzibą zarządu kanału.

Główna ulica miasta biegnie równolegle do portu. Nad kanałem wód słodkich, przekopanym od Nilu aż z pod Kairu, ciągnie się piękne wybrzeże Mehmed-Alego, z pałacem gubernatora, gmachem zarządu kanału morskiego i willą Lessepsa w stylu szwajcarskim.

Naprawo od dworca rozciąga się dzielnica zamieszkała przez arabów, z meczetem i bazarem ludowym.

Gdy o 7-ej wieczorem wróciłem do hotelu z przechadzki po mieście, do obiadu zasiadło kilkunastu francuzów, przeważnie urzędników administracji Kanału i jeden oficer angielski załogi miejscowej, od którego pierwsi trzymali się widocznie bardzo zdaleka, tak iż byłem jego jedynym interlokutorem.

Anglik mówił też łamaną francuzczyzną; mimo to porozumienie między nami było możebne, i gdy przy kawie czarnej francuzi poszli zabawiać się gazetami i bilardem, ja korzystałem z objaśnień militarnych mego współbiesiadnika. Był to człowiek młody, wysoki, pięknej postawy, nadzwyczaj wytworny i głębiej wykształcony. Przybył świeżo z Indyj wschodnich wprost do Izmailji, gdzie jego pułk zastąpił wojska czynne, posunięte w głąb kraju po pogromie Arabi-paszy pod Tel-el-Kebirem.

Resztę wieczoru urozmaicił nam wędrowny kupiec hindus z Kalkuty, który przed godziną wylądował z zapasami towarów wschodnich, z pomiędzy jakich zakupiłem mnóstwo drobnostek, bardzo tanich a oryginalnych, na podarunki z podróży dla znajomych.

W ogrodzie przed hotelem młoda bura małpa wywracała koziołki i rzucała skórkami pomarańcz na pieska domowego, gdy ten ośmielił się zanadto zbliżyć.

Nazajutrz o świcie nająłem przewoźnika araba z lekką łódką i popłynąłem jeziorem Timsah powitać wielki kanał morski.

Dokoła jeziora zaległa nieprzejrzana okiem pustynia piaszczysta, ozłocona pierwszemi promieniami wschodzącego słońca.

Głęboka, uroczysta cisza panowała w przestworach.

Zwolna z za mglistych tumanów jeziora, jakby widmo olbrzymie, ukazał się trójmasztowiec, sunący z Oceanu indyjskiego na Morze śródziemne.

Wmiarę zbliżania się, kontury paropływu stawały się coraz wyraźniejsze, a fale rozbujane jego kolosalnem cielskiem, rozkołysały nasze czółno, i z szumem uderzyły w nadbrzeżne zarośla.

Spłoszone ptactwo wodne napełniło krzykiem powietrze.

Minąwszy nas poważnie, parowiec ów z flagą amerykańską, z licznymi pasażerami na pokładzie, wpłynął z jeziora w koryto kanału, rozcinające dalej piaski pustyni ku północy i zniknął w jego zakręcie we mgle.

W pierwszym roku otwarcia żeglugi przez kanał 1870, przepłynęło takich okrętów 486, w r. 1882 przepłynęło ich przeszło 3.000.

Dochód w pierwszym roku żeglugi wynosił około 5 miljonów franków; w lat dziesięć przeniósł 50 miljonów, a w ostatnich czasach zwiększa się corocznie o 10 miljonów, dając akcjonarjuszom grube dywidendy.

Następująca tabelka przedstawia ogólny obraz ruchu i dochodu kanału:

Lata	Ilość okrętów	Ilość tonn	Dochód franków
1870	486	435 911	5,159.327
1871	765	761.467	8,993.732
1872	1.082	1,439.169	16,407.591
1873	1.173	2,085.672	22,897.319
1874	1.264	2,423.672	24,859.385
1875	1.494	2,940.708	28,886 302
1876	1.457	3,072.107	29,974 998
1877	1.663	3,418.949	32,774.344
1878	1.593	3,291.535	31,098.220
1879	1.477	3,236 942	29,686.060
1880	2.026	4,344.519	39,840.487
1881	2.727	5,794 401	51,274.351
1882	3.198	6,811.521	60,504.878

Z ogólnej liczby statków w roku 1882 było 84 angielskich. Wojna w Egipcie przysporzyła Towarzystwu Kanału suezkiego przeszło dwa miljony franków dochodn.

Długość Kanału suezkiego wynosi 160 kilometrów, czyli przeszło 86 mil morskich. Szerokość zwierciadła wody dochodzi 58 do 100 metrów, szerokość dna 22, a głębokość 8 metrów.

Czas przepływu statków przez kanał oznaczony jest na 16 godzin; większa szybkość nie jest dozwolona.

Ważność usług kanału najwybitniej się okazuje we względzie oszczędności czasu, potrzebnego dla żeglugi między portami Europy i Wschodu dalekiego, w porównaniu z czasem tej żeglugi naokoło Afryki. Oszczędność owa wynosi dla Londynu, Liverpoolu, Hamburga, Amsterdamu, Bordeaux dni 24; dla Marsylji 31, dla Genui 32, dla Brindisi i Triestu 37 dni. Obok tego wielką jest również oszczędność na węglu opałowym, gdy zważymy, że parowce oceanowe zużywają dziennie po 1.000 i więcej kilogramów węgla kamiennego.

Świetne i niespodziewane rezultaty, osiągnięte przez otwarcie komunikacji przez Kanał suezki i nadzwyczajne korzyści, jakie tenże przynosi współzawodnikom handlowym Anglji, popchnęły tę ostatnią do zbrojnego zajęcia Egiptu, a tem samem i wybrzeży kanału.

Wielka masa kapitałów francuskich, umieszczonych w akcjach i obligacjach Kanału suezkiego, nie mówiąc już o interesach natury politycznej, nie pozwoli rządowi francuskiemu, aby anglicy zdobyli nad Kanałem wpływ przeważny, ku czemu przedsięwzięli wyprawę egipską. Nie trzeba bowiem zapominać, że sztuczny przepływ między Morzami śródziemnem i czerwonem dokonany został dzięki energji i wytrwałości francuzów, i że urzeczywistnienie olbrzymiego dzieła Lessepsa napotykało na uporczywe przeszkody ze strony polityków angielskich już od samego początku.

Wprawdzie Anglja, ze względu na ilość ładunków, corocznie przewożonych przez Kanał suezki, zajmuje bez zaprzeczenia pierwsze miejsce wśród innych narodów, albowiem przypada na nią około $^{4}/_{5}$ ogólnej ilości ładunków. Prócz tego, obok konieczności politycznej zabezpieczenia sobie najkrótszej drogi do Indyj wschodnich, anglicy mają wszelkie powody pragnąć, aby korzystanie z owej drogi wypadało dla nich o ile możności jak najtaniej.

W ostatnich czasach mianowicie dywidenda akcyj Kanału suezkiego zaczęła szybko wzrastać. Według obliczeń angielskich członków zarządu Kanału seuzkiego, ilość ładunków przebywających go w r. 1890 dojdzie co najmniej do 12,000.000 tonn; przyczem pomimo znacznego zmniejszenia opłat przewozowych na jakie powołuje się Lesseps, możebną jest wypłata dywidendy do 30% od nominalnej wartości akcji, ponieważ dochód czysty towarzystwa przeniesie 60,000.000 fr. Cztery piąte tej sumy, t. j. około 48,000.000 fr. opłacaliby akcjonarjuszom francuskim angielscy właściciele okrętów.

Wobec tego nie można się dziwić, że w Anglji powstała silna agitacja przeciw opłacie tak wysokiej daniny głównie kapitalistom francuskim. Rząd angielski jednak, nie chcąc wystawiać cierpliwości Rzeczypospolitej francuskiej na zbyt ciężką próbę, zawarł z Lessepsem układ, mający na celu uregulowanie kwestyj spornych i uwzględnienie wymagań handlu angielskiego.

Ostatecznie sprawa Kanału suezkiego załatwioną być musi na podstawie zupełnego zneutralizowania tej wielkiej arterji międzynarodowej.

W olbrzymim trójliściu kontynentu półkuli naszej, obok przodującej w kulturze Europy i starej obumierającej Azji, skwarna tajemnicza Afryka, jak widzimy, zaczyna zajmować stanowisko coraz żywotniejsze. Podróżnicy wszelkich narodowości z narażeniem życia spieszą badać nieznane głębie jej podzwrotnikowych obszarów, wszystkie niemal mocarstwa europejskie zakładają tam na wyścigi swoje kolońje, a obok dawnych tworzą nowe państwa, mniej więcej niezależne. Słowem, pogrążony długo w apatji t. zw. „ląd czarny“ cywilizuje się stopniowo i zaczyna wrzeć życiem bujnem, ruchliwem, potężnem, w którem tkwią zarody olbrzymich przekształceń.

Jak niegdyś po odkryciu wielkiej drogi morskiej do Indyj wschodnich naokoło Afryki, jej wybrzeża zachodnie i południowe zaludniły się mnogiemi kolońjami europejskiemi, tak znów dziś wskutek przekopania Kanału suezkiego, wybrzeża jej północne i wschodnie zaczynają się nanowo ożywiać i kolonizować. Ze zmianą głównych warunków powszechnej walki o byt narodów zmieniają się i jej wyniki. Francja zajmuje sąsiednią Algierji Tunetańję, Włochy zamyślając o zagarnięciu Trypolisu zawładnęły tymczasem wybrzeżami Morza czerwonego około Assabu, Niemcy zamierzają uszczęśliwić swym protektoratem Zanzibar, wreszcie Anglja zajęła i dotąd dzierży najważniejszą, bo bezpośrednio do Kanału suezkiego przyległą starą krainę faraonów.

Dzięki Nilowi owej olbrzymiej wewnętrznej arterji wodnej, sięgającej w głąb nieznaną lądu środkowej Afryki, Egipt posiada zawsze ogromne znaczenie ekonomiczne, zarówno pod względem wytworu płodów surowych, jak i pod względem handlu.

Jego rozległe komunikacje lądowe i wodne z Nubją, Sudanem, Abisyńją, oraz wielkiemi oazami pustyni, skupiają w Aleksandrji, Suezie i Port-Saidzie olbrzymi ruch towarów całej północno-wschodniej Afryki. Po uspokojeniu tej uroczej krainy, po ustaleniu się w niej normalnej administracji, z czasem zakwitnąć tam musi nanowo bogata produkcja rolna, dla której dolina Nilu, a zwłaszcza jego żyzna Delta, przedstawia tak świetne warunki.

Pociągi kolejowe na drogach żelaznych Delty, przebiegając płaskie równiny w lińjach przeważnie prostych, kursują bardzo szybko. Z Izmailji do Kairu podróż odbywa się dniem jednym.

Lińja ta kolei w dolinie Tumilat biegnie prawie ciągle tuż ponad kanałem nilowym, prowadzącym wodę rzeczną od stolicy do Izmailji.

Wyjechawszy z tej ostatniej pociągiem porannym, przybyłem do Kairu wcześnie przed wieczorem. Na głównym dworcu kolei ruch tam stosunkowo niewielki. W tych niepewnych czasach mało kto podróżuje. Interesy handlowe w zastoju, a ludność miejscowa biedna i zajęta pracą koło roli. Mimo to dorożek na dworcu mnóstwo, wszystkie ze świetnym zaprzęgiem rasowych arabczyków, przedstawiają się bardzo pokaźnie. Dorożkarze dobijają się o pasażerów i za tanią opłatą robią najdalsze kursy. Wsiadłem do pierwszego powozu, jaki się nawinął i kazałem się wieźć na plac Ezbekje do angielskiego „Oriental Hotel".

Przedmieście Kairu od strony północnej dość biedne i mało zabudowane, dopiero przyległa im dzielnica europejska i sam środek miasta okazały i świetnie utrzymany. Główne ognisko dzielnicy europejskiej stanowi wielki ogród Ezbekje, ciągle sztucznie skrapiany, pełen rzadkich roślin, krzewów i drzew, sprowadzonych wielkim kosztem z głębi Afryki. Liczne kanały, kaskady, kioski, bufety, restauracje, zakłady koncertowe i t. p. czynią z parku tego rozkoszne miejsce przechadzki i wypoczynku dla mieszkańców i podróżnych, znużonych skwarem i kurzawą.

Zaraz też po przybyciu do hotelu korzystałem z tego, tembardziej, że blisko mi było, bo okna moje na ów ogród wychodziły.

Park i plac Ezbekje otaczają główne gmachy publiczne: pałac opery, giełdy, poczta, telegraf i t. d. Wpobliżu skupiają się pierwszorzędne hotele i konsulaty. Stąd jak promienie rozchodzą się główne ulice: Hawala, Bulak, Muski, oraz bulwary Clot-beya, Abdul-Azisa i Mohamed-Alego szeroki długi i prosty jak ul. Marszałkowska w Warszawie.

Pomimo świeżych bitew i zagranicznej okupacji angielskiej ruch w Kairze stosunkowo ogromny. Tłumy pieszych dążą chodnikami, a nawet środkiem ulic; prócz tego mnóstwo jeźdźców konno, na mułach i osiołkach pędzi kłusem na wszystkie strony. Kupcy arabscy, przekupnie, roznosiciele towarów i woźnice napełniają powietrze gwarem. Mimo to nikt się nie potrąca i nikt nie zawadza.

Wieczorem olbrzymie kawiarnie pod kolumnadami i sale koncertowe, których tu jest mnóstwo napełniają się różnobarwną i różnojęzyczną publicznością. Orkiestry, śpiewaczki i śpiewacy arabscy, tureccy, włoscy i francuscy walczą o lepsze. Wstęp wszędzie bezpłatny, ale za napoje drogo się płaci.

Ludność wogóle spokojna, policji mało, a świetne pułki angielskie i szkockie dzielną postawą nakazują poszanowanie.

Kair jest największym grodem Afryki i liczy około 350.000 mieszkańców, z czego do 50 000 przypada na europejczyków. Stolica Egiptu jako rezydencja kedywa, siedziba władz centralnych, ożywiona nieustannym ruchem, w którym biorą udział niemal wszystkie narodowości starego świata — jest wielkiem miastem w całem znaczeniu tego wyrazu. Jego korzystne ze wszech miar położenie, jako klucza krain nadnilowych, czyni zeń zarazem jedno z najważniejszych ognisk Wschodu. Jeśli w ostatnich czasach Kair stracił wiele na politycznem znaczeniu, pozostał mimo to zawsze głównym rynkiem wymiany handlowej między Europą a całą północno-wschodnią Afryką.

Jest to jeden z najbardziej malowniczych grodów wschodnich. Życie wre tu całym blaskiem barw tęczowych, a na pełnię jego złożyły się zarówno stara kultura Egiptu, dawna potęga islamu i władztwa arabów, jak nowoczesna cywilizacja europejska. Wschód i Zachód dopełniają się tu i zlewają harmonijnie. Każdej chwili pogrążać się tu można w charakterystyczny wir życia wschodniego, bez wyrzekania się europejskich wygód komfortu.

Mnóstwo rzeczy godnych widzenia na każdym kroku w mieście i okolicach, stare pomniki licznych warstw cywilizacji odwiecznych, różnolitość żywiołów etnograficznych, wszystko to czyni z Kairu punkt niemałego interesu i uroku zarówno dla poważnego badacza, jak i zwykłego turysty.

Pomijając malownicze meczety, budowle publiczne i grobowce z epoki arabskiej, jedną z najgodniejszych uwagi instytucyj niezmiernej wagi dla badaczy zamierzchłej przeszłości staroegipskiej, jest Muzeum starożytności egipskich, położone na przedmieściu Bulak. Niezmierne bogactwa jego zbiorów z każdym niemal dniem pomnażają się, tak iż wiele świeżo napływających okazów niema gdzie pomieszczać. Niezbędną też okazała się budowa gmachu nowego, którą rozpoczęto na sąsiedniej wyspie nilowej, na terytorjum zamku Gezireh.

Muzeum starożytności egipskich jest, rzec można, obecnie jednym z najświetniejszych zbiorów w tym rodzaju w świecie. Nawet znakomite działy starożytności egipskich, jakie zwiedzałem później w muzeach tak bogatych w tym względzie jak watykańskie, neapolitańskie, paryskie i brytyjskie, są drobnostką w porównaniu z wielkiem muzeum Kairu. Jest ono tem większej wagi, że wszystkie zabytki i okazy w niem pomieszczone zdeterminowane są najściślej co do miejsca swego pochodzenia.

Główną część muzeum rzeczonego stanowi liczna kolekcja posągów bóstw i władców, pochodzących ze świątyń, pałaców i grobowców staroegipskich, oraz epok późniejszych: greckiej i rzymskiej. Wiele z tych kolosalnych utworów dłuta pierwotnego przechowało się w całym blasku wykończenia. Mnóstwo napisów hieroglificznych, na nich przechowanych, stanowi niewyczerpany materjał dla badaczów starej kultury krainy faraonów.

Niezliczona ilość sarkofagów, mumij, tablic napisowych, drogocennych papyrusów, posążków, sprzętów, broni, naczyń domowych i religijnych, amuletów, klejnotów itp. dopełnia te zbiory nieprzebrane.

Przy mnie otwierano nadesłane z górnego Egiptu paki ze świeżo odkrytemi mumjami z najstarszych grobowisk. Łoskot młotków przerywał cichy sen od lat tysiąców pozłocistym trupom członków potężnych dynastji, patrzącym z podziwem przez okna muzeum na bagnety żołnierzy angielskich. Bez podziwu za to spoglądało na nich z wierzchołka piramid XL wieków.

Najbliższa Kairu grupa piramid Gize, obejmuje największe kolosy tego rodzaju grobowców. Prowadzi do nich przez Nil most i szeroka szosa, wysadzona sykomorami, zrazu przez urodzajne ogrody i pola, potem przez skraj rozległej pustyni.

Na obiadach w sali jadalnej „Oriental Hotel" przy ogólnym stole, prócz generała sztabu głównego i kilkunastu oficerów angielskich, miałem za najbliższego sąsiada po prawej ręce młodego człowieka, z którym zapoznałem się zaraz bliżej. Po wzajemnej prezentacji i wymianie biletów, dowiedziałem się, że był to p. Stawrow, syn bogatego bankiera z Odessy. Wytworny ten i sympatyczny dżentelmen, grek z pochodzenia, mówił dobrze po rosyjsku. Mieszkał stale od lat kilku w Kairze, gdzie prowadził handel rasowemi końmi arabskiemi, które wysyłał do Rosji znajomym sportsmenom i bogatym właścicielom ziemskim. Prócz małego apartamentu w „Oriental Hotel", obok mego pokoju nr 8, zajmował obszerną stajnię i wozownię w podwórzu hotelowem na tyłach, gdzie zaprowadził mię zaraz dla obejrzenia świetnych wierzchowców różnej maści.

Nazajutrz, po wczesnem śniadaniu rannem p. S. zaproponował mi wspólną przejażdżkę swoim wolantem do najbliższej grupy piramid Gize. Pogoda zimowa była piękna i słoneczna, a mimo połowy listopada gorąco dochodziło do 40° centigrada. Po przebyciu wielkiego mostu na Nilu, dalsza droga prowadziła wpośród przepysznych ogrodów i pałaców, szeroką aleją wysadzaną po obu stronach bujnemi sykomorami. W połowie drogi stangret pokazał nam biczem na brzegu szosy nieżywą dużą żmiję, którą przejechał przed chwilą powóz jadący tuż przed nami. Po przebyciu około 10 kilometrów czyli 1½ mili, stanęliśmy u stóp olbrzymiej piramidy Cheopsa, najwyższej ze wszystkich w Egipcie (146 metrów).

Przy pobliskim małym hotelu spoczywała w cieniu gromada arabów przewodników, ze swoim szeikiem czyli wójtem sąsiedniej wsi Gize. Był to wysokiego wzrostu i atletycznej budowy poważny starzec, w długiej białej koszuli do kostek i lekkiej opończy czarnej, w szafirowym fezie z długim chwostem jedwabnym na głowie ogolonej. Mówił nieźle po francusku, i przydzielił nam zaraz sześciu przewodników, oraz jednego tak zwa-

nego lekarza arabskiego z małym dzbankiem glinianym świeżej wody w ręku. Byli to wszystko młodzi ludzie ubrani tak samo jak ich naczelnik.

Niezwłocznie zaczęliśmy wdrapywać się na piramidę Cheopsa od strony północnej, jako nieco zacienionej i najchłodniejszej. Naczele szedł nasz lekarz z wodą. Następnie ja z towarzyszem osobno. Pochyłe ściany piramidy, pierwotnie zupełnie gładkie, z czasem ogołocone z pokrycia płytami granitu, stanowią rodzaj schodów złożonych z ogromnych bloków ciosowych, wysokich po parę łokci każdy. Wstępując wgórę trzeba nogi podnosić nadmiernie, przyczem dwóch przewodników trzymając turystę za ręce, pociąga go wgórę, a trzeci podsadza ztyłu. Powoli z małemi odpoczynkami, dostaliśmy się w ten sposób w przeszło pół godziny, na szczyt piramidy. Wskutek zrucenia kamieni wierzchołkowych utworzyła się tam mała platforma, około 10 metrów kwadratowych powierzchni. Spotkaliśmy tam młodą piękną angielkę, w lekkim kostjumie popielatym, z lornetą w ręku, z jej czterema przewodnikami, którzy zaczęli zaraz sprowadzać swoją panią z powrotem nadół. Nasz lekarz podał nam szklanki z wodą do picia i skropił lekko głowy dla orzeźwienia. Zdarzają się bowiem turystom wskutek zmęczenia i gorąca wypadki omdlenia, a nawet ataki apoplektyczne; dla tego towarzyszą im zawsze tak zwani lekarze zaopatrzeni w wodę świeżą i inne środki orzeźwiające. Dla wypoczynku usiedliśmy na odłamach ciosów, aby napawać się widokiem niezrównanym — z jednej strony rozkosznej doliny Nilu umajonej zielenią palm i ogrodów — z drugiej niezmiernym obszarem piasczystej pustyni...

U stóp naszych drzemał snem wiekowym kolosalny Sfinks i kilka innych piramid pomniejszych.

Schodzenie ze szczytu piramidy szło nieco łatwiej, ale zawsze przy pomocy przewodników naszych w ten sposób: że jeden skręciwszy swój długi płaszcz przewiązał mię nim w pasie i trzymał silnie w ręku jego końce; dwaj zaś inni przewodnicy szli naprzód podając mi ręce wmiarę potrzeby przy skokach na dół. Po krótkim wypoczynku, zapłaciliśmy według taksy przyjętej należność zwierzchnikowi przewodników. Jeden z nich, za osobną nagrodą od nas, zaproponował popisowe wejście na szczyt piramidy Cheopsa w przeciągu 15 minut, co też wykonał punktualnie z nadzwyczajną zręcznością. Kilku chłopców, synów przewodników, popisywało się też przed nami za osobną nagrodą, ujmując zręcznie w palce wielkie skorpjony zielone bardzo jadowite, gnieżdżące się pod kamieniami przy drodze.

W dalszym ciągu wycieczki poszliśmy z towarzyszem moim obejrzeć jeszcze pomniejsze piramidy pobliskie, małą świątynię granitową staroegipską, a wreszcie kolosalnego Sfinksa, u stóp którego spoczywała w cieniu gromada kawalerzystów angielskich — nowożytnych zdobywców Egiptu.

Wracając, zaprosiłem mojego towarzysza na drugie śniadanie do restauracji w pobliskim „Hotelu pod Piramidami“, poczem wyruszyliśmy zaraz do Kairu, na zwykły obiad wieczorny.

Na drugi dzień z rana wybrałem się do wielkiego zakładu fotograficznego i malarskiego pp. Strommeyera, Koeniga i Heymana, gdzie po dokonaniu zdjęcia mego w całej postaci, zamówiłem pół tuzina odbitek formatu biletowego. Nazajutrz odebrałem je gotowe razem z kliszą wielkości cm. 6 × 10. Zakupiłem przy tem kilkanaście kopij fotograficznych nienaklejonych dużego formatu cm. 20 × 30, najważniejszych widoków Kairu, piramid w Gize, Sfinksa, przystani Nilu, portu Aleksandrji, różnych typów etnograficznych egipskich i t. p.

Po południu zwiedziłem dalsze dzielnice arabskie Kairu i wielki Bazar afrykański przy pełnej ruchu ulicy Muski, gdzie nabyłem parę pięknych piór strusich do kapelusza dla Ma, kilka świeżych orzechów kokosowych i t. p.

Dla wypoczynku po trudach dziennych zasiadłem wieczorem przy stole w moim pokoju dla napisania kilku listów: do ojca i siostry w Siedliskach, do Ma w Warszawie, i parę krótkich korespondencyj do redakcji „Nowin“ i „Gazety handlowej“. Pisałem przy drzwiach otwartych na balkon, siedząc w spodniach i w koszuli, a mimo to pociłem się jak w łaźni. Dla ochłody poszedłem do ogrodu Ezbekje na koncert orkiestry arabskiej gitarowo-fletniowej z towarzyszeniem tamburin. Śliczna młodziutka włoszka 12-letnia, złotowłosa i czarnooka, roznosiła po sali w dużym koszu przepyszne kwiaty o woni odurzającej. Przypinała je gościom, zapytując z czarownym uśmiechem:

— Signor, volete fiori freschi?

Nikt nie odmawiał i mała zbierała grubą monetę do kosza.

Znajomi oficerowie angielscy, sąsiedzi moi w hotelu, ostrzegali mię, że z powodu bardzo wrogiego zachowania się wielkich oddziałów powstańców w południowych okolicach Kairu, wszelkie wycieczki w górę Nilu były narazie niemożliwe bez narażenia życia lub pochwycenia w niewolę. Wobec tego pożegnałem świetny Kair i 20 listopada wybrałem się pociągiem nocnym do Aleksandrji.

Palące żarem wśród dnia słońce skryło się wreszcie za złociste obłoki. Zwolna jaskrawe smugi purpury i fioletu zalały widnogrąg zachodni, podczas gdy z szafirowych tumanów wschodu wypływała olbrzymia różowa tarcza księżyca.

Łagodny wietrzyk pieścił bujną roślinność, tulącą się do snu wśród wspaniałej nocy nadnilowej. Tchnienia jej ciche przerywał tylko miarowy łomot kół wagonów.

Na dworcu głównym kolei żelaznej w Aleksandrji o świcie portjer nadmorskiego „Hotelu Bambini“, w którym poprzednio już mieszkałem, Hassan Zahran, arab w czerwonym fezie i lekkiej czarnej opończy ze złotym galonem u kołnierza, mówiący

nieźle po francusku, zabrał mój kuferek i szybko jednokonnym wolantem pocwałowaliśmy na wybrzeże. Przenocowałem spokojnie, kołysany szumem fal morskich.

Nazajutrz 21 listopada we wtorek, 1882 r. wczesnym rankiem po śniadaniu, udałem się na wielki targ po zakup żywności w dalszą drogę do Włoch. W lekką torbę plecioną z liści palmowych, naładowałem spory zapas bananów, świeżych daktyli, winogron, kilka bułek białego chleba i butelkę wina cypryjskiego.

W biurze agencji francuskiej „Messageries maritimes" kupiłem za 90 franków bilet do Neapolu klasy IV-ej czyli pokładowy, umyślnie aby módz swobodnie przebywać dniem i nocą na wolnem powietrzu morskiem przez pięć dni i tyleż nocy.

Wielki parowiec francuski „Tage", który przybył wczoraj w drodze z Indochin, stał w nowym porcie zachodnim Aleksandrji gotów do wyjazdu. Hassan Zahran podwiózł mię w szalupie hotelowej do schodków parowca, i zaniósł mój bagaż na pokład. Na pożegnanie uścisnąłem dłoń miłego araba i poczęstowałem go dobrem cygarem.

Z Aleksandrji Morzem śródziemnem do Tripolis i Neapolu.

Na parowcu „Tage" czysto wymytym, pusto było jeszcze gdy na jego pokładzie stanąłem. Uwijało się tylko kilku chłopców okrętowych, czyniąc przygotowania do wyruszenia w drogę. Mogłem więc swobodnie wybrać sobie miejsce najdogodniejsze, według upodobania. Jednym rzutem oka obejrzałem się wokół, i umieściłem mój bagaż przy ścianie drewnianej tuż pod głównym pomostem kapitańskim, naprzeciwko masztu przedniego.

Wkrótce po mnie przybył na pokład parowca młody człowiek miłej powierzchowności, ubrany starannie, i zapytał mię czy mówię po niemiecku? Po mojej odpowiedzi potwierdzającej, dalszą rozmowę prowadziliśmy w tym języku. Przedstawił mi się jako amerykanin z New-Yorku Rudolf Voslik, właściciel hotelu tamże, wracający z podróży po Europie i Wschodzie do domu. Kuferek swój położył obok mojego i odtąd trzymaliśmy się razem.

Wkrótce zaczęło przybywać na parowiec coraz więcej pasażerów, między nimi kilku trypolitańczyków z żonami i dziećmi, udających się stąd do Trypolisu.

Do nas przyłączył się jeszcze podróżny żyd z Aleksandrji, ubrany w czarny tużurek i fez czerwony na głowie, i również przy naszych kuferkach ułożył swój sakwojaż oraz materac zwinięty razem z małą poduszeczką. Następnie jeszcze ułożył obok swoje pakunki oficer angielski, w białym kasku na głowie i w szarym mundurze z szablą, wracający z Egiptu do Anglji na urlop jako rekonwalescent. Nakoniec czterech arabów, jadących z Palestyny do Francji, prosiło nas aby mogli zająć miejsce obok ze swojemi koszami i skrzyniami drewnianemi. Starszy arab, mówiący dobrze po francusku objaśnił, że są chrześćjanami, jadą z Jeruzalem z pakami obejmującemi różne pamiątki

poświęcane na grobie Chrystusa: różańce z drzewa oliwnego, muszelki z jeziora Genezaret, gałązki oliwne z Ogrójca i inne kwiaty zasuszone z miejsc świętych, widoczki, obrazki święte i t. p. na sprzedaż w Europie. Mieli też swoje dywaniki i poduszki safjanowe do spania.

Uradziliśmy zaraz urządzić małe obozowisko w ten sposób, że przy wysokiej ścianie drewnianej pod pomostem głównym kapitana ja zająłem miejsce wpośrodku, a obok mnie rzędem amerykanin, anglik i żyd zbrzegu po mojej lewej ręce. Po bokach zaś ze strony lewej i prawej ustawili w dwa rzędy swoje kosze i skrzynie czterej arabowie po dwóch z każdej strony, zostawiając czwartą stronę wolną do wyjścia swobodnego z tego czworoboku. Wkrótce potem zaczął padać drobny deszczyk. Kapitan obejrzawszy nasz mały obóz uśmiechnął się i kazał paru marynarzom wykręcić od masztu przedniego wielką reję dolną, i koniec jej przywiązać do barjery pomostu kapitańskiego. Przez ten drąg przewieszono ogromny żagiel z grubego płótna, które utworzyło nad naszemi pakunkami wielki namiot, chroniący doskonale zarówno od deszczu, jak od wiatru i słońca. Brzegi żagla arabowie podsunęli równo pod swoje paki od zewnątrz, i w ten sposób uzyskaliśmy doskonałe schronisko spokojne i zamknięte.

Ja przy moim kuferku rozwinąłem i ułożyłem mój puszysty dywanik smirneński, a z palta watowego związanego sznurem zrobiłem wygodne siedzenie. Żyd obok, z mojej lewej strony od brzega, rozwinął i rozłożył swój długi materac drelichowy z poduszeczką, na którym zaraz wyciągnął się wygodnie. Amerykanin po mojej stronie prawej urządził sobie również legowisko z płaszcza i wielkiego miękkiego sakwojaża. Za nim z brzega drugiego oficer angielski zrobił sobie podobnież posłanie ze swoich pakunków. Wreszcie i arabowie rozpostarli grube dywany i poduszki skórzane, na których posiadali z nogami pod siebie na sposób orjentalny, i zaczęli palić fajki na długich cybuszkach.

Na pokładzie ruch pasażerów zwolna uspokajał się. Wszyscy zajmowali swoje miejsca w kajutach klasy I, II i III-ciej pod pokładem.

Ja z amerykaninem, zostawiwszy nasze bagaże pod opieką towarzyszów podróży, wyszliśmy na przedni pokład parowca przyglądać się ruchowi w porcie i miastu budzącemu się do życia.

Wkrótce też przybył pilot portowy, uwiązał wielką długą linę do naszego okrętu, ruszył naprzód, a kapitan dał sygnał odjazdu. Pilot prowadził nasz parowiec wolnem korytem wód pomiędzy szerokiemi mieliznami przybrzeżnych piasków. Niebawem wyprowadził nas na pełne morze, poczem odczepił swoją linę, zwinął i wrócił do portu. Aleksandrja i płaskie brzegi Afryki niknęły zwolna we mgle widnokręgu.

Amerykanin, jako wytrawny turysta, poszedł ze mną do szefa stołowni okrętowej, z którym ułożyliśmy się o śniadania, obiady i kolacje na cały czas podróży naszej pięciodniowej do Neapolu. Ja służyłem za tłomacza, gdyż amerykanin nie mówił po francusku. Uprzejmy restaurator zawarł chętnie ugodę z nami za bardzo umiarkowaną cenę. Zaraz też w swoim gabinecie zasiadł z nami przy małym stole, i kazał podać na śniadanie kawę, cukier i bułki.

Potem wróciliśmy do naszego namiotu, gdzie arabowie w swoim dużym kociołku naparzyli wonną kawę na wrzącej wodzie przyniesionej z kuchni okrętowej. Żyd podobnież w małym buloarze naparzył sobie własną herbatę, i zapijał z cukrem ze szklanki, z białym chlebem. Arabowie kawę czarną bez cukru pili z ciastem słodkiem i marmeladą owocową, którą nas częstowali uprzejmie.

Żyd po śniadaniu znów położył się na swojem posłaniu, gdyż czuł zię bardzo osłabiony, pomimo że był jeszcze niestary. Ja zasiadłem obok niego na moim paltocie i zaczęliśmy gawędzić po polsku, zgadało się bowiem, że on pochodził z Krakowa. Biedak opowiadał mi, że mieszkał już dawno w Aleksandrji. Jego żona wyrabiała cukierki, rozmaite biszkopty, migdały osmażane w syropie i t. p.; on zaś sprzedawał to roznosząc, dostarczał też hurtownie do sklepów i przekupniom na targi. Nagle bombardowanie Aleksandrji zrujnowało ich zupełnie. Po zniszczeniu miasta, zaczęły się rozruchy i rabunki. Bandyci wpadali do ich mieszkania, i na okup od śmierci wydarli im częściowo wszystkie oszczędności. Straciwszy ostatnie grosze, ratowali się w nocy ucieczką w koszulach tylko, do krewnych. Żona jego rozchorowała się z tego ciężko i wkrótce zmarła. Pogrzebał ją i został sam bardzo znękany w nędzy. Napisał list do siostry swej, która miała w Argentynie w Buenos-Ayres duży hotel, i przysłała mu pieniądze na pierwsze potrzeby, oraz przekaz bankowy na znaczną sumę i list rekomendacyjny do swoich krewnych w Marsylji, dokąd on właśnie jechał, i skąd miał dalej wyruszyć do Buenos-Ayres na parowcu francuskim Kompańji transatlantyckiej. W liście tym pisanym po niemiecku siostra podała mu dokładne informacje: gdzie i jak miał sobie radzić, i odnośne adresy. Żydzisko wyjęło list z portfelu, i prosiło aby mu cały głośno przeczytać i objaśnić, gdyż mimo parokrotnego czytania nic nie pamięta, tak ma skołataną głowę swemi strasznemi przejściami w Egipcie. Uczyniłem zadość jego prośbie i wyjaśniłem mu wszystko dokładnie.

Statek kołysał się coraz bardziej. Wyszedłem z naszego namiotu pochodzić, i spotkałem sąsiada anglika opartego o burtę. Poczęstował mię papierosami — podziękowałem jako niepalący. Anglik zauważył, że nieco pobladłem, i zapytał czy mi nie jest niedobrze? Odrzekłem, że istotnie czuję małe mdłości. Więc zaraz doradził mi, aby chodzić szerokim krokiem po pokładzie,

to się uspokoję. Jakoż wkrótce potem uczułem zupełną ulgę. Poradził mi również, aby w nocy w razie mdłości, nie leżeć na boku skurczonym, lecz nawznak na plecach i wyprostowanym. I to mi również zaraz pomagało, tak że w całej podróży mojej nie doznawałem tak zwanej „choroby morskiej".

Anglik zapytał mię skąd jestem? Objaśniłem żem polak z Warszawy. Na dowód wyjąłem mój oprawny w zielone płótno paszport zagraniczny, basaporto czyli „teskere" tureckie, książeczkę legitymacyjną w niebieskiej okładce, list polecający z redakcji „Nowin" z wizą konsula angielskiego i bilet wizytowy z adresem....: Anglik zaczął się śmiać, i zawołał:

— Ależ pan wozisz w kieszeniach całą bibljotekę!

A ja odparłem:

— Czyż pan niemasz wcale żadnego pasportu?

— Naturalnie że nie, co mi po nim?

— No, a naprzykład na poczcie, przy odbiorze korespondencji, posyłki, lub w razie jakiegoś zatargu — czemże pan udowodnia swoją osobistość?

— Pokazuję tylko mój bilet wizytowy. I dodał z dumą: Wystarczy, gdy powiem żem anglik! Nikt nie śmie zrobić mi krzywdy. Inaczej mój rząd upomniałby się o mnie, a wrazie potrzeby wysłałby nawet eskadrę wojenną, i zbombardowałby port morski, gdzieby mię skrzywdzono....

— Toś pan szczęśliwszy ode mnie. Bo nasz rząd rosyjski z pewnością nie ująłby się za mną tak energicznie....

I znów zacząłem się przechadzać wzdłuż całego parowca po szerokich galerjach krytych daszkiem, prawie zupełnie pustych.

Wieczorem poszliśmy z amerykaninem na pierwszy obiad do kajuty restauratora, który smakoszem był nlelada, i sam układał codzień „ménu" z kuchmistrzem przed południem. Garson przynosił nam pełne półmiski, z których braliśmy „á discrètion" ile kto chciał. Na pierwsze podano zupę rumianą z jarzynami i pulpetami, na drugie rybki morskie „rougety au naturel" na świeżej oliwie (podobne do naszych pstrągów lub karasi lecz delikatniejsze), po nich wino białe Chablis; potem przepyszny ozór słoniowy peklowany na gorąco z chrzanem i wino Chateau Yquème; wreszcie kotlety baranie z groszkiem zielonym, szarlotkę à la Rotschild, kawę czarną Yemen i szartrezę. Amerykanin częstował wybornemi papierosami z prawdziwego tytoniu tureckiego, pana restauratora, który się niemi bardzo delektował.

Po obiedzie wróciliśmy do naszego namiotu. Rozpostarłem na dywanikn moje palto watowe, i ułożyłem się na niem wygodnie. Amerykanin wyjął Słowniczek kieszonkowy niemiecko-francuski, takież Rozmówki, oraz gazety kupione w Aleksandrji. Prosił mię, abym mu przeczytał kilka wyrazów francuskich, których nie umiał wymawiać, a także abym z nimi próbował

mówić po francuzku dla wprawy. Po małej lekcji konwersacji dał mi do przejrzenia swoje gazety najświeższe.

Zachód słońca na pełnem morzu był wspaniały....

Na kolację w gabinecie restauratora podano nam chleb biały, sery francuskie ostre, wino Ermitage, daktyle marokańskie, banany, winogrona tureckie „czausze", wielkie figi świeże zwierzchu zielone z różową śródowocnią wewnątrz i niespliki słodkie jak miód.

Po przechadzce wieczornej poszliśmy spać wcześnie. Ja nie rozbierałem się wcale, aby w nocy wstać przyglądać się morzu przy pełni księżyca. Porozpinałem tylko guziki, zdjąłem krawat i kołnierzyk. Towarzysze nasi w namiocie uśpili się niebawem. Statek zaległa cisza, tylko motory machin sapały miarowo.

Przed północą wyszedłem na pokład, zarzuciwszy palto na ramiona. Księżyc był już wysoko , i srebrzył szeroką smugą fale rozbujałe w dali nieskończenie głębokiej. Nasyciwszy się tym czarownym obrazem, ległem znów spać spokojnie.

Na drugi dzień, we środę 22 listopada, wschód słońca był również bajeczny. Po śniadaniu i zwykłej przechadzce wzdłuż parowca, zajrzałem po schodkach bocznych na górny pokład tylny nad salą klasy I. Na ławeczkach przy burtach i w fotelach biegunowych siedzieli już panowie i panie eleganckie, flirtując lub czytając gazety i książki.

Na samym końcu, w głębi pokładu tylnego, stała oryginalna grupa pasażerów. Zakonnik franciszkanin w habicie czarnym, przepasany białym sznurem, z długim różańcem, brunet przystojny blady, szczupły, bardzo wysoki. Przy nim młodziutka zakonniczka w szerokim białym kapeluszu, siostra miłosierdzia anielskiej piękności, o cerze delikatnej białej, lekko zarumieniona, błękitnooka. Śmiejąc się do franciszkanina ukazywała ciągle drobne białe ząbki. Po drugiej stronie bernardyn w średnim wieku, niski otyły grubas, czerwony jak burak na twarzy, z nosem ogórkowatym i brodą szczeciniastą, wtórował śmiechem tubalnym rozmowie jakiejś wesołej... Nagle zatoczył się i mruknął pod nosem:

— A to psiakrew fala!

Słysząc to podszedłem do niego i mówię po polsku:

— Niech brat przespaceruje się ostro po pokładzie, to mu dobrze zrobi...

— He! he! he!! toś pan polak, bardzo mi przyjemnie spotkać rodaka. Jestem z Litwy i jadę z Jeruzalem do Rzymu.

— A ja z Warszawy, wstąpię też do Rzymu po drodze, wracając do Polski.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! Pozwoli pan, że go przedstawię memu towarzyszowi franciszkaninowi i siostrzyczce...

Franciszkanin z Palestyny jechał też do Rzymu i opiekował się ciągle zakonniczką. Całemi dniami do późnego wieczora byli nierozłączni i bardzo sobą zajęci. Przechadzali się, to znów

siadali na fotelach górnego pokładu, rozmawiając zcicha po francusku; bernardyn nieco po łacinie.

Przypomniała mi się scena z dwoma Kalchasami w „Pięknej Helenie“ Ofenbacha.

Pożegnawszy nowych znajomych, spotkałem na przodzie parowca pana już siwego, w czarnym tużurku i fezie czerwonym na głowie. Przyglądał się ciekawie naszemu namiotowi i zagadnął mię po francusku, proponując mi odstąpić swoje miejsce w klasie II-ej za moje na pokladzie IV-ej klasy. Odrzekłem, że przedewszystkiem musiałbym pierwej obejrzeć jego miejsce. Poszliśmy na tył okrętu do schodów klasy II, które właśnie marynarze myli. Z głębi uderzył mię zaduch szkaradny, zatkałem nos, a marynarze śmiejąc się pokazali mi na podłodze salonu ślady morskiej choroby. Wobec tego podziękowałem francuzowi za jego propozycję zamiany naszych miejsc, i zająłem znów swoje dawne pod namiotem na świeżem powietrzu. Francuz ów jechał do swoich krewnych do Marsylji z Aleksandrji, gdzie mieszkał jako kupiec, i wskutek rabunków stracił prawie cały majątek.

Na trzeci dzień naszej żeglugi, 23 listopada 1882 roku we czwartek, fala morska zaczęła się zwolna uspokajać. Pasażerowie mogli swobodniej przechadzać się po galerjach bez narażenia na silne karambole.

Na przodzie parowca pod daszkiem, pomiędzy schodkami na pokład górny szpicowy, sternik i majtkowie porozwieszali przeróżne klatki małe i duże z ptactwem rozmaitem, zakupionem w portach Indochin i innych po drodze. Mieli piękne pstre papugi, parki papużek zielonych t. zw. „inséparables“, duże kuropatwy azjatyckie, gołębie garłacze różnej barwy i t. p. Karmili je i poili wodą naprzemian, pokazując pasażerom w celu sprzedaży.

Przed wieczorem kilku trypolitańczyków, z żonami i z dziećmi, wynieśli swoje bagaże na pokład z kajut klasy III-ciej, aby gotowi byli do wylądowania.

Na godzinę przed zachodem słońca parowiec nasz przybił do portu Tripolis, i zarzucił kotwicę naprzeciw komory celnej. Obok niej wpośrodku wybrzeża piętrzył się olbrzymi stary Zamek, z warownemi basztami i minaretem głównego meczetu. Dalej od strony wschodniej zieleniał bujny gaj palm daktylowych rozległej oazy nadbrzeżnej.

Do parowca przypłynęła wielka szalupa ze strażą kwarantanny z rozkazem, że tylko tybylcy mogą wylądować — ponieważ otrzymano depeszę z Aleksandrji, że w Egipcie wybuchła cholera. Po sprawdzeniu pasportów trypolitańczyków, zabrano ich z rodzinami i bagażem na szalupę, i odwieziono zaraz do lazaretu kwarantanny.

Parowiec „Tage“ przyjął potem wielki ładunek daktyli, i zaraz po zachodzie słońca wyruszył w dalszą drogę wprost do Neapolu.

Czwartego dnia żeglugi naszej (24 listopada w piątek) morze uspokoiło się zupełnie. Pod namiotem naszym arabowie gwarzyli wesoło, paląc wielkie nargile. Sąsiad mój żyd, zaraz po śniadaniu, wyjął znów list od swojej siostry, prosił żebym go przeczytał i objaśnił podane informacje. Na moją uwagę, że już mu wszystko czytałem i objaśniłem, odrzekł że nic nie pamięta. Wobec tego doradziłem mu, aby dopiero po przybyciu do Marsylji zajrzał do listu i wykonał ściśle wskazówki według adresów podanych przez siostrę. Biedak był bardzo osłabiony, i leżał prawie ciągle na swoim materacu podróżnym.

Mój sąsiad z prawej strony amerykanin Rudolf Voslik zapytał mię o poprzedni kierunek mojej podróży i miejsce stałego pobytu. Opowiedziałem mu pokrótce, że mieszkam stale w Warszawie, że wyjechałem z domu w początku października, jako redaktor i korespondent gazet polskich, przez Kraków, Pragę, Wiedeń, Peszt, Belgrad, Bukareszt, Konstantynopol, Ateny, Smirnę, Kair i Aleksandrję, gdzie właśnie spotkaliśmy się na naszym parowcu. Nawzajem opowiedział mi, że również kilka miesięcy temu jak wyjechał z New-Yorku, gdzie stale mieszka i ma duży hotel przy Browne Street nr. 371. Że zwiedził już Anglję, Francję, Szwajcarję, Austrję, Rumunję, a następnie przez Konstantynopol i Palestynę przybył do Egiptu. Z Aleksandrji jadąc obecnie dalej pragnie zwiedzić Włochy, a przez Paryż i Londyn wrócić do New-Yorku. Zaproponował mi, abyśmy się dalej trzymali razem, najmując w hotelach jeden pokój, dorożki i t. p. co wypadnie nam taniej, dzieląc koszt na połowę. Zgodziłem się na to chętnie i zapytałem jak dawno przebywa w Ameryce? Odpowiedział, że już od lat kilkunastu. Przed wyjazdem do New-Yorku mieszkał w Niemczech w Hamburgu, gdzie służył w wojsku. Zdarzyło się podczas mustry w koszarach, że kapitan komenderujący, widząc iż nie dość prosto się trzyma, grzmotnął go pięścią w piersi gwałtownie i omal nie zabił. Oburzony tak nieludzką tyranją, prawie nieprzytomny, odruchowo uderzył owego kapitana kolbą karabinu w zęby tak silnie, że zwalił go z nóg. Powstało wielkie zamięszanie, z którego korzystając w obawie surowej kary zemknął szybko niepostrzeżony, przez kręte zaułki dopadł do wybrzeża portu, i schronił się do najbliższej piwiarni. Szczęśliwym trafem zastał tam swego przyjaciela i kolegę szkolnego, człowieka bogatego. Ten widząc jego wzburzenie — pyta co się stało? Po krótkiem objaśnieniu kolega prowadzi go coprędzej do swego mieszkania i przebiera po cywilnemu. Uradzono, że musi natychmiast wyjechać okrętem odchodzącym do New-Yorku za chwilę. Kolega pożyczył mu narazie znaczną sumę na drogę, kupił sam kartę okrętową i odprowadził go na pokład parowca. Pożegnali się

i okręt ruszył niebawem. Podówczas nie było tak wielkich formalności emigracyjnych jak później. Po szczęśliwej podróży wylądował w New-Yorku.

Wypocząwszy dni parę, zakupił: kilkadziesiąt nożyków, scyzoryków, nożyczek, pierścionków, kolczyków, broszek i t. p. i wybrał się pieszo od wsi do wsi celem rozprzedaży. Widząc zbyt mały zysk z tego, postarał się o kupno parceli ziemi rządowej w lasach w okolicach Chicago. Czekała go ciężka praca. Narazie przy pomocy sąsiadów zbudował małą chatę, i jął się karczunku lasu. Kopał, uprawiał gorliwie ziemię; zbudował większy dom mieszkalny, ale ta ciężka praca ogromnie go męczyła i rujnowała mu zdrowie. Postanowił więc sprzedać swą fermę. Trafił się nabywca i dobrze mu zapłacił za dom i pola już uprawne starannie.

Zdobywszy znaczny fundusz p. Voslik udał się zaraz do New-Yorku, najął pokoik w drugorzędnym hotelu przy Brown-Street nr. 371, i tamże się stołował, przeglądając ogłoszenia w gazetach miejscowych. Nazajutrz zauważył, że gospodarz hotelu oczekuje kogoś niecierpliwie, spoglądając często na zegar, i żaląc się przed swym kelnerem na ludzką niesłowność. P. Voslik zaciekawiony zapytał kto jest ów oczekiwany niesłowny? Gospodarz objaśnił, że przed tygodniem umówił się z jednym znajomym z prowincji o sprzedaż swego hotelu i restauracji, i że dziś właśnie zrana mieli zawrzeć kontrakt urzędowy, lecz nabywca zrobił mu zawód i wcale nie przybył. Wobec tego p. V. zapytał o warunki kupna, które były wogóle korzystne i bardzo dogodne, gdyż spłata mogłaby nastąpić w czterech ratach kwartalnych w przeciągu jednego roku. Oznajmił więc gospodarzowi, że gotów jest zawrzeć z nim kontrakt urzędowy na piśmie, i wypłacić zaraz pierwszą ratę zgóry. Gospodarz chętnie się zgodził, tylko sobie zastrzegł pozostawienie go przez pół roku w zajmowanem dotychczas mieszkaniu, na co p. Voslik zgodził się, gdyż mu to zapewniało w pierwszych początkach wszelkie informacje, tyczące się administracji hotelu nabytego. Zaraz też na drugi dzień po podpisaniu kontraktu objął w posiadanie hotel i restaurację. Z początku znów musiał pracować bardzo mozolnie. Tembardziej, że dla oszczędności zmniejszył znacznie personel służbowy, sam stanął za bufetem, i obsługiwał dość licznych gości do późnej nocy. O świcie zaś musiał wstawać, i czynić na targach i w sklepach zakupy potrzebne do restauracji. Nieraz, jak mówił, był prawie zrozpaczony tak uciążliwą pracą i brakiem wypoczynku. Ale przetrwał dzielnie wszystkie owe trudy, a dzięki gorliwym staraniom o wygody gości zjednywał ich sobie coraz więcej. Zyski też coraz bardziej wzrastały, tak iż nietylko spłacił wszystkie umówione raty kupna hotelu, i odesłał swemu przyjacielowi pożyczoną sumę, ale zaczął składać w banku znaczne oszczędności. Zczasem zaciągnąwszy korzystną pożyczkę nadbudował drugie piętro

i odnowił świetnie swój hotel. Zaprowadził staranną obsługę i dobrą administrację, tak że po kilkunastu latach mógł sobie pozwolić na dłuższą podróż, którą właśnie odbywał ze mną w dalszym ciągu.

Naturalny i szczery ton tego opowiadania, wyraz twarzy spokojny i miły — utrwaliły we mnie zaufanie, jakie powziąłem odrazu do mego towarzysza. Jakoż nie zawiodłem się na nim, i nieraz korzystałem później z jego rad zawsze dobrych i praktycznych.

Piątego dnia naszej podróży morskiej, 25 listopada 1882 r., w sobotę rano ujrzeliśmy w promieniach słońca wschodzącego wspaniały profil rozłożystego grzbietu Etny, z wiecznie dymiącym kraterem.

Przechadzając się z p. Voslikiem po pokładzie parowca spotkaliśmy młodego człowieka, który zaproponował nam po niemiecku nabycie ładnej marynarki z szarego płótna żaglowego za tanie pieniądze, gdyż jest w wielkiej potrzebie. Objaśnił przy tem, że jako szwajcar z Curychu służył w żandarmerji angielskiej w Egipcie, skąd właśnie wraca do kraju z bardzo małym funduszem. Obejrzałem marynarkę, była czysta i świeża kroju wojskowego, z kołnierzem stojącym, obszytym po obu stronach patkami z sukna pąsowego, z wyhaftowanym na nich nićmi złotemi herbem egipskim czyli półksiężycem z gwiazdką. Przymierzyłem marynarkę, była prawie na mnie, więc ją nabyłem, zapłaciwszy szwajcarowi żądaną cenę.

Przed obiadem braciszek bernardyn chciał mię poczęstować swoją starką litewską z dużej butli, oraz wędliną na przekąskę, lecz mu podziękowałem pięknie, wymówiwszy się, że wódki wcale nie pijam, a wędlina przed samym obiadem zepsułaby mi apetyt. Więc braciszek sam łyknął odrazu dwa kieliszki za siebie i za mnie, wznosząc ze śmiechem toast za moje zdrowie. A ja życzyłem mu nawzajem smacznego apetytu i... wesołej zabawy z siostrzyczką.

Mijając szybko Wyspy liparyjskie przyglądaliśmy się zbliska wulkanowi Stromboli, którego piramidalny krater silnie dymił u szczytu. Do stromych jego boków nad brzegami morskiemi tuliły się wśród bujnej zieleni białe domki rybaków, jakby gniazdka jaskółcze.

Zwolna niezwykłe to zjawisko traciliśmy z oczu, a widnokrąg zaległy znowu szerokie przestwory Morza tyrreńskiego. Po długiej żegludze rozkoszna wyspa Capri i półwysep Sorrento zwiastowały nam zbliżanie się uroczej zatoki neapolitańskiej.

„Pamiętniki Stanisława Jana Czarnowskiego“, wydawane zeszytami, zawierają wspomnienia z trzech stuleci XVIII, XIX i XX w porządku dziejowym. Zeszyty dotychczas wydane obejmują, prócz dawnych wspomnień rodzinnych (z tabelą genealogiczną), opis lat dziecięcych, czasów szkolnych w Kielcach, uniwersyteckich w Warszawie — działalność oświatową i publicystyczną autora tamże, jego podróż po krajach słowiańskich i na Wschód południowy, z mnóstwem szczegółów wielce interesujących o ówczesnych stosunkach pedagogicznych, towarzyskich, społecznych i dziejowych.

Od Wydawnictwa „Pamiętników S. J. Czarnowskiego"

w Kielcach, ulica Hipoteczna 30.

Wyszły z druku:

Zeszyt 1. Przedmowa. Wstęp. Rodowód familji Czarnowskich i rodzin z nią spokrewnionych. I. Mój ojciec i jego rodzina. II. Matka moja i jej rodzina. Cena Marek 75.

Zeszyt 2. III. Lata dziecięce moje w Staszowie, Miechowie i Stopnicy (r. 1847 — 1856), rzeź galicyjska. Mk. 150.

Zeszyt 3. IV. Lata szkolne w Kielcach (1856 — 1860), wojna włoska. Mk. 185.

Zeszyt 4. Lata gimnazjalne w Kielcach (r. 1860 — 1864), powstanie styczniowe, bitwa miechowska. Mk. 390.

Zeszyt 5. V. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie (1864 — 1865 r.). Wydział przyrodniczy. Mk. 375.

Zeszyt 6. Lata uniwersyteckie w Szkole Głównej w Warszawie (1865—1869 r.). Wydział prawa i administracji. Mk. 650.

Zeszyt 7. VI. Wydawnictwa i aplikacja sądowa moja w Warszawie (1869—1873), wojna francusko-niemiecka. Mk. 390.

Zeszyt 8. VII. Księgarnia kolportacyjna w Warszawie (1874 — 1879 r.), wojna bałkańska, Wł. Spasowicz. Mk. 1050.

Zeszyt 9. VIII. Warszawska Bibljoteka słowiańska i Czytelnia czasopism (1880 — 1883), wojna egipska, Aleksander Świętochowski i Bolesław Prus-Głowacki. Mk. 660.

Zeszyt 10. IX. Listy z podróży na Wschód południowy (1882 r.). Ziemie słowiańskie. Mk. 430.

Zeszyt 11. Szkice z podróży na Wschód południowy. (1882 r.). Grecja, Azja mniejsza i Afryka północna. Mk. 2.800.

Pod prasą dalsze części:

IX. Podróż na Zachód i pobyt w Nicei (1884 — 1885 r.).

X. Pobyt w Konstantynopolu (1886 — 1890 r.).

XI. Powrót do Warszawy (1890 — 1894 r.)

XII. Pobyt w Miechowie i Ojcowie (1895 — 1917), wielka wojna europejska.

XIII. Pobyt w Kielcach (1918 — 1920 r.), oswobodzenie i niepodległość Polski.

XIV. Zakończenie. Marzenia niespełnione.